



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół, kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

POGA WĘDKA.

Sezon ogórkowy w całej pełni; dla ludzi przyzwyczajonych do zabaw i rozrywek, do towarzyskiego wiru, do ciągle nowych wrażeń, pobyt w Warszawie teraz musiałby być bardzo ciężką i nieznosną próbą.

Mało też kto z takich naraża się na nią; to, co się zowie „towarzystwem“ Warszawy, dawno już używa miłych wczasów na willegiaturze, albo u wód zagranicznych.

Salony pozamykane, w teatrach brak zwyczajnych *habitués*, na ulicach nawet znać ubytek ludności; kanikuła wypłusza jeszcze resztki pozostałych, którzy się opóźnili z wyjazdem.

Na rozpalonym bruku miejskim, podczas upałów, zamieniających Warszawę w jakiś olbrzymi i duszny piec do wypalania cegieł, życie staje się szeregiem omdlewań i drzemek.

Słońce takim jakimś wyjątkowym żarem praży nas w roku bieżącym, jakgdyby się uwzięło o przepalać nam czaszki. Deszcz od czasu do czasu pokropi rozpalone kamienie na ulicach i dachy blaszane, ale w kwadrans śladu po nim niema.

O burzach dowiadujemy się tylko z *Kuryerów*.

Mniejsza zresztą o upały, dokuczające nam mieszcuchom, ale gorsze ich skutki mogą się dać rolnikom, narzekającym już dzisiaj na suszę. W wielu okolicach zaszkoziła ona plonom tegorocznym, wypaliła jarzyny, zboże mało omlotnem zrobiła, w ogóle dla zbiorów tegorocznych pomimo pięknych z wiosną nadziei nie zbyt podobno korzystne można rokować wyniki.

Uniknęliśmy przynajmniej klęski, która poważnie zagrażała nam przed dwoma tygodniami; telegramy z Galicyi, zwłaszcza z podgórze karpackiego podniosły alarm o powodzi, powstałej ze stopnienia większej ilości śniegu w górach i skutkiem ulewnych deszczów. Zanosilo się też u nas na katastrofę podobną do zeszłorocznej, ale jako nieszczeście w stanowczej chwili się odwróciło.

Natomiast pożary ze zdwojoną siłą niszczą nam dobytek i rabują ludzi przeważnie biednych.

W zeszłym tygodniu ogromny pożar szerzył się na Nowej Pradze i w perzynę obrócił kilkadziesiąt budynków drewnianych, zamieszkałych przez ludność roboczą.

Przeszło 400 osób pozostało bez dachu, wielu zaledwie z życiem uciec zdołało.

O ratunku niepodobna było myśleć: ograniczono się tylko do umiejscowienia ognia, a wstyd powiedzieć, że tuż pod bokiem wielkiego miasta całe dzielnice mogłyby pójść z dymem i popiołem, zamienić się w kupę gruzów dlatego, iż gminy nie posiadają ani swej straży, ani środków ratunkowych na wypadek ognia.

Warszawska straż pożarna pospieszyła za rogatki miasta na Nową Pragę, należącą do obcej gminy, ale mogła była zatrzymać się u granicy swojego rewiru, a w takim razie klęska byłaby jeszcze większe przyjęła rozmiary.

Na biednych pogorzalców zbierają składki, w przyszłą niedzielę urządzają teatr amatorski. Wszystko to pięknie i szlachetnie, ale właściwiej byłoby pomyśleć o zabezpieczeniu przyszłości i o organizowaniu straży, nabyciu sikawek, bosaków, beczek, aby na wypadek nowego pożaru nie poddawać się tak bezsilnie wścieklemu i niszczącemu żywiołowi, którego ani czem, ani komu nie będzie pohamować.

Bieda i tak ludziom dokucza i dogryza, po cóż

ją powiększać własną lekkomyślnością, własnem ospalstwem?

A teraz trudniej będzie o zebranie funduszu, zwłaszcza, że pierwsza próba dostarczenia pomocy nie okazała się zachęcającą. Pewne grono obywateli zebrało w zimie kapitał około 30.000 rs. wyruszający, który, jak wiadomo, rozpożyczono ubogim rzemieślnikom z warunkiem, by w ciągu lata zwracali pieniądze ze swych zarobków.

Lato się kończy, a mało który z dłużników poczuł się do obowiązku swego; powstały tylko stopy rewersów z funduszu, który miał służyć na nowe zapomogi w chwilach ciężkiego przejścia.

Zarząd kas pożyczkowych zaproponował też ofiarodawcom tego kapitału, a zatem głównym wierzycielom nierzetelnych, że postara się ściągnąć zaległe należności, ale uczyni to za połowę zwróconych długów, które mają być przelane do kas rzemieślniczych. Rozumie się, że na wniosek ten przystaną właściciele funduszu choćby dlatego, by cel publiczny nie tracił na tem.

Smutna to konieczność w takich razach uciekać się aż pod obronę prawa i środkami przymusowemi ściągać długi, które miały być podwójną w danej chwili pomocą na podwójnym, bo finansowym i moralnym, opartą kredycie.

Jakkolwiek czasy są ciężkie, ale roboty dla zarobku na kawałek chleba nie braknie.

Dostarczyła jej ostatnia Wystawa przemysłowo-rolnicza na Ujazdowie, która żywot swój zakończyła w dniu 12-go b. m. Główniejsze zabudowania, jako też oparkanie i arena do igrzysk pozostały nietknięte; w niedzielę nawet zapowiadają w obrębie byłej wystawy wielki festyn z bardzo urozmaiconym programmem na rzecz warszawskiego Ogrodu Zoologicznego, który jakkolwiek jest przedsięwzięciem akcyjnym, prywatnem, przyczyniając się do pożytku i rozrywki mieszkańców Warszawy, odwołuje się do pomocy

publiczne, nie znalazłszy jej dostatecznie na innej drodze.

We Wrześniu zaś odbyć się ma staraniem Towarzystwa Ogrodniczego wielka wystawa kwiatów i roślin, która okaże, w jakim stanie znajduje się u nas ogrodnictwo. Pożądanem-by było, aby, nietylko znane i uznane firmy hodowców z zawodu przyjęły udział w tej wspaniałej wystawie, ale, by i prywatne ogrody i amatorzy kwiatów popisać się zechcieli swoją hodowlą.

Sądźmy też, że praktyczniejsza strona powinna zyskać przy tem; hodowla jarzyn i warzywa mogłaby u nas rozwinąć się o wiele korzystniej, gdyby się postarano o ułatwienie środków zbytu, a do tych, naszym zdaniem, należy zwiększony handel uliczny. Podobnie, jak się roznosi po ulicach dzisiaj pomarańcze, czereśnie, melony i arbuzy, możnaby na wózkach rozselać kapustę, ogórki, kalafiora, kartofle, pietruszkę, cebulę i t. p. potrzebne artykuły spożywcze.

Takie wędrujące stragany spotyka się co rana na ulicach i dziedzińcach Paryża, a skrzętne gosposie korzystają z tego bardzo chętnie, nie potrzebując używać pośrednictwa sług do zakupu wiktuałów na targach oddalonych od domu.

W ogóle cała dostawa żywności w tym sposobie miałaby u nas wielkie widoki powodzenia.

Dzisiaj już zaopatrywać się możemy w piwo, lód lub pieczywo takimi łatwymi środkami, na których zyskują bezpośrednio obie strony, sprzedająca i kupująca.

Dla ludzi niezamożnych byłaby to wielka ulga i oszczędność, gdyby taki handel uliczny z dostawą do domu rozwinął się u nas jeszcze bardziej.

Te gospodarskie kwestye wydają się może z nadto powszednimi i prozaicznymi do rozmowy z naszymi nadobnymi czytelnikami, ale mają swe praktyczne znaczenie, dla którego lekceważyć ich obecnym, lub przyszłym gosposiom nie należy.

Nie zebrało się zresztą zbyt wiele zajmującego materiału w sezonie martwym; jedną z najbardziej sensacyjnych wiadomości, które poruszyły, nie tylko samą Warszawę, było samobójstwo głównego Kassjera Banku Polskiego s. p. Stanisława Hertza.

Nieboszyk, skutkiem cierpienia moralnych, targnął się na swoje życie i w skarbcu bankowym strzelił do siebie kilkakrotnie; jedna kula utkwiała w czaszce i strzaskała ją, mimo to samobójca żył jeszcze dni kilka, a nawet powracał do przytomności.

Bezwzględna rewizja kassy dowiodła, iż jako człowiek, zaufania i rzetelności, s. p. Hertz nie ubliżył w niczem swym obowiązkom i odpowiedzialności głównego skarbnika, pod którego opieką od wielu lat znajdowały się w schowaniu gotowizna i wexle Banku Polskiego; Bank ten, jak wiadomo, traci swą firmę, właśnie bowiem odbywa się pod okiem osobnej komisji przemienianie go na filię Banku Państwa, w której, nietylko w wewnętrznej organizacji i zakresie działalności nazewnątrz, ale i w składzie personelu dotychczasowego, zajdą poważne zmiany.

Powstawały pogłoski o zamiarze założenia nowego banku kapitałami francuzkimi, któryby głównie prowadził zwinieć w Banku Polskim operacje finansowe z zagranicą, ale jakkolwiek projekt to żywotny i przedstawiający w dzisiejszych warunkach widoki powodzenia, przecież, o ile nam wiadomo, trzeba go zaliczyć do kaczek dziennikarskich.

Może wszelako z tej nauki powstanie kiedyś zawiązek poważnego zamiaru, który u naszych sfer przemysłowych handlowych i finansowych powinienby znaleźć sympatyczne poparcie.

W dziedzinie sztuki nastąpiła artystyczna pauza.

Zamknięto zeszłej niedzieli wystawę projektów na pomnik Mickiewicza, która, jak się okazało, była spóźnionym wabikiem dla naszej publiczności.

Na wystawie bywały pustki, pomimo reklamy i przypominania w dziennikach, pomimo celu, na jaki dochód przeznaczono. Sprawa o tyle inte-

ressowała opinią naszą, oile na gorąco jeszcze dyskutowano o wyroku konkursowym; dzisiaj przebrzmiały głosy za i przeciw; więc przestało się troszczyć tem, czy p. Dykas wart był większej nagrody od p. Rygiera, lub jakiego innego współzawodnika.

Podobno istnieje zamiar wydania fotograficznego albumu wszystkich projektów, a następnie puszczania na losy wszystkich oryginałów. Zebrany ztąd fundusz, byłby choć w części nagrodą bezowocnej pracy, talentu i czasu, poniesionego przez naszych artystów na wykonanie szkiców.

U nas trudno wymagać ofiar bezinteresownych od synów muz; sztuka bardzo lichy daje zarobek, sława również przyciąga swoje ponętne promienie; już to samo niemal jest wielkim poświęceniem, jeżeli się pracuje na tem polu, porajac się z losem, pędząc życie z dnia na dzień, krzepiac się dzisiaj nadzieją lepszego jutra.

Co robić, gdy się człowiek urodzi z tem zarzewiem w duszy, które nie tak łatwo przytłumić, z tym ogniem świętym, co wymaga zresztą całopalenia; trzeba pójść koniecznie za wrodzonym instynktem, trzeba zostać artystą!

Nigdzie chyba tylu tych adeptów sztuki nie próbuje szczęścia i sił swoich, co w zawodzie dramatycznym. Scena wabi, przyciąga, kusci, rozmarza; więc pędzą ku niej, często naoslep, powołani i niepowołani. Zdaje się im, że aby zostać aktorem, to tak niewiele potrzeba; lada sprytny oczy, gładka twarzyczka ożywiona uśmiechem, głos dźwięczny i trochę deklamacyjnego zapachu, zachęca do próby na deskach teatralnych i pokuszenia się o tytuł kapłana czy kapłanki Melpomeny, o sławę, oklaski i, oile możności, wysoką pensyą.

Corok mnóstwo tych zaślepionych puka do drzwi naszego teatru i stara się o debiuty. Byle się zaczepić, byle się wkręcić!... a potem ci zaczepieni wiszą lata całe, jak Twardowski zamieniony w pajaka, między niebem a ziemią, ci wkręceni wiercą się niemal przez całe życie, jak w klubach—i ani rusz posunąć się dalej.

Zapał ten i zamięłowanie do zawodu dramatycznego różni się też wiele w dzisiejszym pokoleniu od dawniejszego; najczęściej kryją się pod niemi rozmaite inne uczucia, a przedewszystkiem próżność. Chce się znaleźć sposobność zabłyszczania albo szuka się rzemieślniczo tego kawałka chleba, który na innem polu nie tak łatwo zyskać można.

Ambicyjki, pretensye, zarozumiałość a i lekkomyślność popychają owych niby—utalentowanych na ślizkie deski sceny, po których tak łatwo staczają się ludzie i marnieją potem do końca życia.

Dyrekcya naszego teatru powinna też przy całej dbałości o gromadzenie sił artystycznych na przyszłość, bardzo ostrożnie przyjmować owe oferty młodych początkujących talentów; nie każdego i nie każdą dopuszczać do debiutu, sądzić surowo i poddawać próbom kilkakrotnym, zanim otworzy wrota świątyni, w której coraz mniej kapłanów w chórze u wielkiego ołtarza, coraz luźniej wśród prawdziwych wyznawców sztuki w głównej nawie, a natomiast coraz ciasniej w kruchcie i babinie.

Na prawdziwe talenta mamy lata nieurodzaju ale dla miernot nie braknie jeszcze miejsca.

Odpowiedzi na kwestyonaryusz rodzinny.

(Dalszy ciąg).

List II-gi, znad Pilicy. Przechodzimy ciężki przewrót ekonomiczny; główne źródło bogactwa krajowego zanika i nie jest to zastój chwilowy. Nietylko nie można się spodziewać, aby wkrótce było lepiej, ale trzeba nam wiedzieć, że musi być gorzej, gdy resztki dawnych zasobów zużyją się

powoli, bo wobec rozszerzonej uprawy zboża na ogromnych przestrzeniach Ameryki, Indyj angielskich, Rossyi Południowej nie możemy przypuszczać, aby położenie poprawiło się na korzyść naszego gospodarstwa rolnego, które dotąd stanowiło głównie o naszym losie finansowym. Ubożejemy; ekonomiści muszą obmyślać nowe drogi postępowania, nowe pole dla wielkiej produkcji i pracy krajowej; lecz nim to nastąpi, a kwestya jeszcze: zali nastąpić może w stosunku wyrównującym przeszłości, pojedyncze jednostki muszą radzić, jak uniknąć nędzy, ruiny domowych ognisk swoich.

Wydawaliśmy oddawien dawna za nadto; dowodem tego jest, że zamożność ogólna obniża się coraz. Wyjąwszy kilku, kilkunastu fortun, które wzrosły na drodze przemysłowej i to przeważnie bogacąc ludzi obcych, świeżo do nas przybyłych, albo pochodzenia obcego i nigdy ze społeczeństwem naszym niezłączonych tak, aby w pełnem znaczeniu tego słowa uważać ich można za rzeczywiście należących do narodu, majątki się zmniejszają, ziemia przechodzi z rąk do rąk, bo dawni jej właściciele zubożeli, utrzymać się na niej nie mogą w takim byciu, jaki uważają za jedynie możliwy, aż do chwili, gdy sroga konieczność przymusza ich zgodzić się na inny, stokroć gorszy niżeli ten, który przyjęty uprzednio, byłby im pozwolił pozostać na miejscu, w gnieździe starem, gdzie nietylko byłoby im dobrze, ale gdzie byłiby użytecznymi społeczeństwu, jako dobrzy kraju swego obywatele. Dlaczego tak jest? Patrząc na niepojętą lekkomyślność mnóstwa ludzi, którzy dożywają resztek mienia swego bez myśli o jutrze, pożyczając tu i tam, zapychając chwilowo otwierające się pod ich nogami przepaści, ruinując się do reszty procentami—prawie się wierzyć nie chce, że to nie są ludzie dotknięci jakąś niemocą umysłową. Ale nie; są oni pod wszelkim innym względem rozsądni, często wykształceni, mili, przyjemnego towarzystwa ludzie, tylko lekkomyślni!

Lekkomyślni i słabi; nie mają siły zmienić trybu życia, wyrzec się nawyknień dawnych, nie rachują, albo rachują wedle danych fikcyjnych, gruntując się na przypuszczeniach, nie mając nigdy w rachunkach swoich pozycyi: wypadki losowe! Kiedy kłopoty ich uciskają, gdy budząca się od czasu do czasu myśl o jutrze, niepokojem pizenika, wtędy zaczynają obliczać zapasy i nadzieje swoje, ugruntowane na podstawie pragnień i ludzących obietnic doli tak pomyślniej, jakgdyby na świecie wszystko musiało stosować się do ich potrzeb, a Opatrzność czuwała nad nimi szczególnie. Niech-że przecież przyjdzie susza, gdy im potrzeba deszczu, lub deszcz w miejsce pożądaney pogody—niech urodzaje zawiodą parę lat z rzędu, przypuszczenia nie dopiszą: otwiera się przepaść pod nogami, następuje bankructwo. Mamy stare przysłowie, które chce ciosy podobne zwałać na brak szczęścia i okrucieństwa losu: „Gdzie cienko, tam się rwie“. Rzecz to przecież naturalna, że się rwie skoro jest cienko, bo cienkość rwać się musi wśród koniecznych starć życia, i tylko nie godzi się nikomu zawieszac własnej i rodzinnej doli na takiej nici słabiuchnej. Pytania postawione przez *Kwestyonaryusz rodzinny* wywołały, przynajmniej wkoło mnie, mnóstwo rozpraw: oskarżano głównie kobietę, że się stroi, że zbytkuje w przyjęciach, że chowa dzieci zbyt pieścizotliwie i kosztownie, dając im przez te nawyknięcia zgubne—że nie gospodaruje dość pracowicie, że gospodaruje źle. Jest w zarzutach tych wiele słuszności, jest w nich prawda; czy jednak całość winy spada na kobietę, czy mężczyzna może i powinien być ofiarą potulną, która ulega w rzeczach najwyższego znaczenia?

Nietylko wobec prawa mężatka własnowolną nie jest; naturalny układ życia własnowolność jej odbierając, wspólność tylko jej daje. Mąż faktycznie przewodniczy rodzinie; w jego ręku są jej fundusze, on czuwa nad sprawami zewnętrznymi, on zatem powinien regulować sprawy wewnętrzne i wzorem państwa układać budżet wydatków na podstawie dochodów, ale pewnych, stałych dochodów, i to jeszcze z przewidywaniem przyszłości i jej ciężarów, z odłożeniem grosza jakiegoś na zapas, na wypadek losowy. Żona

powinna mieć przedstawiony sobie taki kosztorys utrzymania domu i rodziny, powinna go wraz z mężem uważnie przejrzeć, choćby przedyskutować i powaga męża jest od tego, aby to poważnie dokonaniem zostało. Dotychczas żony znają głównie dochody, ale najczęściej nie znają prawdziwej cyfry rozchodu, wiedzą naprzykład, co mąż bierze za zboże, co dostaje za wełnę, widzą stopy banknotów, które się do biurka zamykają, ale rzadko która ma choć przybliżone pojęcie tego, co kosztuje wyprodukowanie tego zboża, tej wełny, jakie są podatki i inne ciężary gruntowe i jaką sumę tworzy to razem? Ztąd też ta nieznamość interesów sprawia, że, sądząc z pozorów, kobieta uważa się za zamożniejszą, niżeli jest rzeczywistość, i nie przykłada się, tak jak powinna, do pracy gospodarczej, mniej zabiega o przysporzenie dochodów, a w wydatkach jest rozrzutniejszą; męża zaś oskarża o skąpstwo, o twardość, surowość charakteru, brak przywiązania do niej i do dzieci, gdy nie chce dawać na wydatki rodziny tyle, ile żąda. Powstają ztąd zale, spory, czynią się wymówki bolesne; mąż zmęczony, udręczony niepokojem ulega, skłaniając się do żądań żony—do żądań zgubnych, ale najczęściej nie tyle ze złej woli, ile z niewiadomości powstałych. Wyjątkową jest taka kobieta bez serca, któraby powiedziała: „Dawaj, bo ja chcę! bo obowiązkiem twoim jest dostarczać mi tyle, abym żyła życiem wygod i używań samolubnych, choćby nierozsądnych, nietroszczących się o przyszłość własną i rodziny“. Są wprawdzie takie, które mówią: „Jestem tak przyzwyczajona i chcę tego, com miała w domu, z którego mnie brałeś“. Ale mąż powinien wtedy przemówić, jeżeli nie do serca, to do rozumu, wykażać niemożność i zarazem różnice czasów, położeń. Wstyd to przyznać, ale połowa, a nawet większość kobiet nie zdaje sobie z tego sprawy, że stosunki ekonomiczne tak ulegają modyfikacji, jak wszystko na świecie; mężczyzny też rzeczą jest oświecić tu kobietę: na podstawie liczb wykazać jej zmieniony szacunek ziemi, inną cenę pracy—wszystko wreszcie, co zasadniczo przeobraża położenie własności ziemskiej. Wyjątki chyba, wyjątki bardzo złych i płochych, albo bardzo nieinteligentnych, nie zrozumieć niezdolnych kobiet, okazać się nieuległymi i podawnemu wymagającymi, ale większość razem przez rozum i serce—usłucha.

Usłucha, gdy się do niej tak przemówi, ale smutna to rzecz, że o głos podobny trudno, bardzo trudno, bo nietylko kobieta, ale i mężczyzna nie rachują. Wprawdzie już dziś każdy gospodarz jakies rachunki, niby wedle wymagań dzisiejszej rachunkowości, prowadzi, ale zapisywać w książki różne rozmaite poczyty pojedyncze, to jeszcze nie wszystko, to jeszcze nie to, czego potrzeba. Należy ogólny liczb wypadek mieć w pamięci tak, aby: *mam... winienem...* wniknęło nam w myśl, regulującą kroki nasze w tem, co stanowi o życia układzie, aby stało na straży, gdy w chwili wydatku ręka po pieniądź sięga, i pierwej:—wtedy, gdy się chęć tego wydatku rodzi, gdy budzi ją pragnienie przyjemności, zabawy, używania. Natury nasze są wrażliwe, łatwo pociągnąć się dające, lekkie: trzeba też, aby rachunek położył się tu na wadze balastem takim, któryby nie dał przechylić się na tę stronę, przez którą równowaga życia zostałaby naruszona. Nie raz, nie dziesięć razy, słyszeć można o takich bankructwach nieszczęśliwych, o takich subhastacjach, przymusowych sprzedażach dóbr przez licytacje, przy których łatwowierni wierzycciele spadają, a ten, kto jest tych strat przyczyną, uchodzi, chce przynajmniej jeszcze uchodzić, za człowieka uczciwego. On nie wiedział, nie spodziewał się tak nieszczęśliwego zwrotu rzeczy....

Trzebaby i o tem długo pisać, co to jest uczciwość w prawdziwym tego słowa znaczeniu, ale korespondencya przedłużyłaby się nadmiernie: dodam więc tylko, że według mnie, najskuteczniejszym środkiem przeciw zubożeniu i ruinom rodzin naszych, najskuteczniejszym środkiem przeciw życiu nad stan, najprostszą do celu oszczędności wiodącą drogą jest rachunek—rachunek, któryby mąż i żona prowadzili wspólnie i znali dobrze w pozycjach wszystkich. Rachu-

nek powinien wejść w wychowanie naszych dzieci, tak chłopców jak dziewcząt, z których każde powinno mieć w rubryce wydatków ogólnych konto swoje. Rodzice powinni wiedzieć co ich od urodzenia kosztuje dziecko każde; dzieci powinny być uwiadamię z roku na rok o tych wydatkach, na nich czynionych, a zanim dojdą do pełnoletności, zanim na własną rękę pracować zaczną, rozumieją, co to jest życie nietylko przez jego koszt materialny, ale przez ciężar, jakim koszt ów kładzie się na moralnej stronie istnienia ludzkiego. Zależność tych dwóch stron od siebie uwydatnia się dopiero przez rachunek, prowadzony dobrze, porządnie, stale i niech też rodzice nie pozwalają pokoleniom młodym o tym stosunku zapominać, tak, jak to obecnie dzieje się niemal ogólnie w wychowaniu naszym, zwłaszcza kobiet, które też dlatego przez życie całe liczyć nie umieją i przez to przykładają się z zimną krwią do upadku, raz jeszcze powtórzę:—bezwiednie!

(Dalszy ciąg nastąpi).

NIGDZIE MU DOBRZE NIE BYŁO.

OBRAZEK Z ŻYCIA

skreślił Quis.

(Dalszy ciąg).

W tej chwili wyszliśmy z gąszczy na polankę i jakby jaka królewna leśnych boginek oczy moje zacczarowała, ujrzałem nagle urocze zjawisko... Ukryte wśród boru, światłem księżyca osrebrzone, tajemnicze, jak gniazdo rusalek, odsłoniło się przedemną jezioro, wśród lasu.

Nie podobna było wymarzyć piękniejszej dekoracji dla „Snu nocy letniej.“ wśród której skrzydlaty orszak Elfów z Pukiem na czele mógłby swywole figlarne i czepiać się, jak sznurów srebrnych promieni księżyca, kołysać na gałązkach drzew, lub pluskać w falach i wiosłować na liściach lillii wodnych, które tu jak ciemne, rdzawe plamy, stalowe zwierciadło jeziora pokryły.

Janek stanął u wejścia na polankę i wskazując mi ręką ten obrazek w ciemne ramy wysmukłych drzew ujęty, zapytał:

— No, i cóż ty na to?... to moje ulubione miejsce wypoczynku po pracy. Trochę tu wilgotno, jak dla moich zakatarzonych oskrzeli, ale mi tu lepiej, niż gdziekolwiek. Tu mogę przynajmniej...

Spostrzegł się, że zanadto mógłby powiedzieć, zaciął usta, i urwał resztę.

Milczeliśmy tak długą chwilę obaj, zapatrzeni przed siebie w niemym zachwycie.

W jezioru odbijało się niebo ze wszystkimi gwiazdami; księżyc, białawe puchowe chmurki przepływały głębią wody.

Wszystko tu kołysało do marzeń i zadumy.

Przerwana rozmowa nie nawiązywała się nowo; cisza nocy, to milczenie całej natury zamykało i nam usta, hipnotyzowało niejako, żaden z nas nie ruszył się z miejsca, nie śmiał przemówić pierwszy.

Janek, z zmarszczoną brwią, z ponurym jakimś wyrazem, pod którym twarz jego starzała się i zmieniała do niepoznania patrzył w to utopione niebo na dnie jeziora.

Co mu tam po tej głowie się snuło?... o czem myślał tak głęboko, dla czego myślał tak smutno?—nie śmiałem go spytać, zwłaszcza w takiej chwili, byłby nie odpowiedział, swoim zwyczajem, skryty i zamknięty w sobie.

Gdyby jakaś mniej poetyczna żaba nie była wskoczyła do wody i pluskiem jej nie przerwała tego zaklęcia, pod którym milczeliśmy obaj, byłby nas chyba świt obudził dopiero z zadumy.

Janek się wzdrygnął, stłumił westchnienie i oprzytomniał.

— No, chodź dalej—rzekł—jeszcze jedną osobliwość ci pokażę.

Uszedł kilka kroków wzdłuż brzegu i, zatrzymawszy się na niewysokim pagórku, pełnym, rzewnym głosem zaśpiewał:

Marto, Marto! tyś tak czuła...

Głos jego drżał z początku, ale wolą opanowaną, zadźwięczał kilku silniejszymi tonami. Zdawało się, że las się ocknął ze snu i że noc zdała zaczęła odpowiadać śpiewakowi takąsamą smutną aryą, takąsamą śpiewaną skargą.

Z Jankiem śpiewało echo w duecie.

Naraz wysoką nutę przerwał gwałtowny kaszel, i rozwiął całą uludę pięknego wrażenia. Smutna rzeczywistość w mieszała się dyssonansem przykrym do tej sceny.

Podbiegłem ku biednemu Jankowi z wyrzutem: — Widzisz, widzisz—po co ci było śpiewać! zapomniałeś o swoim zdrowiu, narażasz się tak lekkomyślnie.

Janek kaszlał, przyciskając ręce do piersi i wśród kaszlu usiłował siebie i mnie uspakajac:

— To nic... to nic—to tylko tak... przejdzie za chwilę...

Podał mi rękę, zimną była i spotniała.

— Dawno nie śpiewałem—rzekł, uspokoiwszy się nieco i pociągnął mnie z powrotem do domu.

— Nabawiłem cię niepotrzebnie strachu—mówił, usiłując nabrać wesołego tonu—nic sobie nie rób z tego. Jutro już będzie wszystko dobrze, a jeśli nie będzie—dodaj z wymuszonym uśmiechem—to i lepiej. Powiem ci prawdę: życie moje już złamanej szpilki nie warte.

— Janku, co też ty mówisz?

— To, co jest.

— Ale dla czego tak jest?

— Ot, bo inaczej już być nie może. Skrzypiące koło ze mnie, mój przyjacielu—ale nie bój się, jeszcze długo pociągnę. Takie cherlaki, jak ja, przeżywają wielu zdrowych...

W nocy usnąć nie mogłem; przez szparę w drzwiach pokoju Janka widziałem światło.

I on czuwał widocznie, chociaż jednocześnie ze mną do łózka się położył.

— Co za licho pokutuje w tym dziwaku?—pytałem siebie i nie znalazłszy odpowiedzi, usnąłem wreszcie, a przez sen zdawało mi się, że słyszę jeszcze rzewny śpiew Janka przerywany spazmatycznym kaszlem.

IV.

Po trzech tygodniach mojej gościny w Kononicy byłem jak w domu u siebie.

Pokazało się, żeśmy z Żaliwskimi mieli wspólnych znajomych, że pani Żaliwska, druga żona pana Hieronima, a macocha panny Tyni pochodziła ze stron, w których często przebywałem, że bodaj gdzieś, kiedyś musieliśmy się spotykać, i jeśli góry się z sobą nie schodzą, to chyba dla tego tylko, iż im natura nóg odmówiła, ale ludzie zawsze mają sposobność zetknięcia się w życiu.

Byłem tedy na nalegania pań codziennym gościem w pałacu, zwłaszcza podczas nieobecności Janka w domu i zajęć jego mierniczych.

Janek zły był, zirytowany moimi wizytami, chociaż otwarcie się do tego nie przyznawał; wbrew jego woli stawałem się łącznikiem między nim a pałacem, którego unikał.

— Mój drogi—mówiłem do niego—czego ty tak dziwaczysz? zachorowałeś na mizantropa, uciekasz od ludzi, wyrzekasz się świata. W twoim wieku to trochę zawczesnie.

Zmarszczył brwi, brodę palcami przeczesał i spytał:

— A któż ci powiedział, że ja jestem mizantropem?... Nie ciągnie mnie do ludzi, to prawda, ale ich nie nienawidzę, towarzystwa ich tylko nie lubię, wolę moją samotność, kiedy nie potrzebuję się nastrajać do cudzych myśli, cudzego usposobienia i humoru. Wiem, że się im na nic dziś już nie przydam, więc nie chcę obciążać ich sobą.

— A kobiety?

— Kobiety dla mnie nie istnieją, powtarzam ci; ty tego nie zrozumiesz, a ja ci tłómaczyć nie

będą. Wam się zdaje, że w życiu mężczyzny kobiety są jedynym i najważniejszym celem.

— Jedynym nie, ale jednym z najważniejszych i koniecznych — to fakt. Zastanów się tylko, jaką okropną próżnię miałoby życie nasze, gdyby jej kobieta nie wypełniała, jako matka, siostra, kochanka, żona, przyjaciółka, a choćby tylko towarzysząca w najwykleszych warunkach.

— Próżnię... próżnię — powtórzył i sposepniał jeszcze bardziej, ale ocknąwszy się po chwili, westchnął i szybko zmienił ton: — Może być.

Potem wyskoczył oknem i zniknął w gęstwinie lasu.

W pałacu, jak zauważyłem, zajmowano się Jankiem więcej, niż sam przypuszczał. Żaliwski brał mnie często pod ramię, gdyśmy z papierosem w ustach chodzili po alejach rozległego parku i niby od niechcenia pytał:

— Cóż tam nasz samotnik?... nie wybiera się na pustynię w tym tygodniu?... możeby przed wyjazdem przyszedł z panem jutro na śniadanie?... Każę go przy stole obstarwić kwiatami, jak szacha perskiego, aby go nie widziano, gdy będzie jadł.

W tym żartobliwym tonie dźwięczała wszelako nuta głębszej życzliwości.

Musiałem mu opowiadać wszystko, co wiedziałem o stosunkach rodzinnych i majątkowych Janka.

— Jaka to szkoda, że człowiek taki zdolny i inteligentny marnuje się tak i tetryczeje! — mówił do mnie Żaliwski. — U nas tutaj mogłoby mu być, jak w raju. Żebyś pan wiedział, jak go moje kobiety polubiły, choć taki dzikus!...

Ze go kobiety lubiły, a zwłaszcza panna Tynia, poznałem to odrazu. Żaliwska sama z tem się nie ukrywała wcale, że ją „coś ciągnęło“ do pana Jana; czytała w jego oczach jakąś głęboką melancholię, a gry jego słuchać nie mogła, bo się jej na płacz zaraz zbierało.

— Tylko ludzie z sercem tak grać potrafią — mówiła.

Panna Tynia zaś o niczem innem ze mną nie rozmawiała, tylko o Janku, i choćbyśmy prowadzili dysputę o Chinach, ona potrafiła kobiecym sprytem zwrócić ją na drogę do pana Kileckiego zapytaniem np. czy nie należałoby posłać herbaty panu inżynierowi, bo dla niej Chiny widocznie o tyle w tej chwili miały znaczenia, o ile mój niezadowolony a szczęśliwy przyjaciel pijał herbatę.

Że zaś według zdania Francuzów: *les amis de nos amis sont nos amis*, mogłem powiedzieć, iż bardzo szybko pozyskałem przyjaźń panienki.

Młodość bywa tak szczerą i naiwną, tak mało umie się ukrywać, a tak poczciwie zwierzać i tak niezręcznie zdradzać się zwykła!...

Po kilku wstępnych rozmowach byłem pewny, że panna Tynia jest Jankiem po same uszki zajęta, a historia z bławatkami nie była jedynym tego objawem.

Kiedyś przypadkiem *à propos* rozmowy o niedowiarstwie dzisiejszem, wymknęły jej się z różowych usteczek słowa:

— O! proszę pana, któżby nie wierzył! Ja miałam przecież sama najlepszy dowód, bo kiedy ksiądz proboszcz odprawił wotywę na intencję wyzdrowienia pana Kileckiego, to mu przecież kaszel zaraz ustął!

— A z kądże ksiądz proboszcz aż mszę odprawił na jego intencję? — zapytałem zdziwiony.

Panienka spąsowiwała, jak wiśnia, rączkę mimowolnym ruchem do ust poniosła, powiekami mrugać zaczęła, jak zakłopotane dzieci i chrząkając bardzo nieudatnie, odpowiedziała:

— Ksiądz?... ksiądz proboszcz zawsze się za wszystkich sam modli.

— Tak... a za tych, co kaszlą wyjątkowo, nieprawdaż?...

Bawił mnie i rozczulał zarazem ten ambaras naiwnego dziewczęcia, które mi w oczy spojrzeć nie śmiało, zdradziwszy mimowoli swą tajemnicę. Któżby inny, jeśli nie ono w swej anielskiej prostocie zdobyło się na pomysł odprawienia wotywy za zdrowie chorego samotnika?

— Niechże pani przyjmie podziękowanie dla księdza proboszcza — rzekłem z uśmiechem, całą jąc drobnią i delikatną rączkę — że ma tyle troskliwości o mojego przyjaciela.

— Zkądże ja?... cóż znowu? — próbowała się zapierać, ale jej to zupełnie nie szło, więc z rezygnacją porzuciła udawanie i z nowymi rumieńcami na licach, odezwała się w końcu:

— Jeśli mnie pan nie zdradzi, to już się przyznam, żeśmy to z mamą obie dały na mszę, bo nam żal było pana Kileckiego, że taki błąd i zmizerowany był, kiedy do nas przyjechał. No, i potem mu się zaraz poprawiło, jak pan widzi.

— A pani się modli kiedy za niego?

— Hm... po co się pan pyta?...

— Ot tak, aby wiedzieć.

— Ja się za wszystkich modlę codziennie — odrzekła zawstydżonym szeptem.

— To zupełnie, jak ksiądz proboszcz — dorzuciłem z udaną powagą pod uśmiechem na ustach.

— Eh, pan zawsze mnie na słówka wyciąga! — przerwała z dąsem uroczym i uciekła, jak spłoszona sarenka; potem przez cały wieczór na mnie patrzeć nie chciała.

— Szczęśliwy ten Janek — pomyślałem — ilużby na jego miejscu przez całe życie pokaszliwać chciało, byle się za nich takie niewinne a śliczne aniółki modliły!

Nie próbowałem nawet dzielić się z Jankiem mojami spostrzeżeniami w pałacu; po co?... byłby tylko mruczał swoim zwyczajem, ramionami wstrząsał, po pokoju, jak wilk po klatce biegał, z domu uciekał, aby się po lesie wałęsać do późnej nocy.

Ale przyszło i do tego, że z nim stanowczo rozmówić musiał, odsunawszy na bok wszystkie względy.

Zakochani budzą sympatyą dla siebie; człowiek mimowoli zbliża się do tego serca, co w miłości jak kwiat rozkwita. Może dla tego, że przypomina nam ono naszą własną wiosnę uczuć, mamy dla niego jakieś współczucie, radzibyśmy sprzymierzyć się z niem, pomódz mu do szczęścia.

Polubiłem też pannę Tynię podwójnie, odkąd podglądałem tajemnicę jej dziewiczego serduszka, nie zastanawiając się nawet: jakim sposobem ta miłość tlić się w niem ukrytymi iskierkami zaczęła.

Alboż to się da zbadać kiedy?...

Pewny byłem tylko, iż Janek niczem a niczem nie starał się zasłużyć na to uczucie, które bez jego wiedzy, a wbrew jego woli rozbudzało się z dniem każdym coraz więcej w piersiach panienki. Im bardziej instynktownie unikał jej towarzystwa, im bardziej okrążał pałac, im rzadziej jej na oczy nachodził: tem silniej zajmowała się wyobraźnią dziewczyny, tem głębiej ta cicha, skromna, nieśmiała miłość wrastała w dziewczęce serce.

Jak ptaszek na jesieni milkła, smutniała, jakaś zaduma schylała jej śliczną główkę na piersi, gdy udawała, że czyta książkę w altanie, albo z zajęciem wyszywa na kanwie ulubione bławatki i róże. Myślała o nim i zapewne napróżno siliła się rozwiązać zagadkę, dla czego z jego strony tak mało spotyka życzliwości, względów, uwagi?

Zakochane serca a młode, nie mogą zrozumieć, aby miłość nie budziła wzajemności, że aby być kochanym, nie dość kochać samemu, że w jednej tylko sferze uczuć niema tych praw równowagi, które panują w całym universum.

Czemuż tak nie jest!.. mniej łez, mniej goryczy, mniej cierpień spłynęłoby z potokiem życia.

Bo czy jest większa męczarnia dla ludzkiego serca nad tę: kochać, a nie być już, albo jeszcze kochanym?...

Żal mi było dziewczyny, otwarcie z nią porozmawiać nie śmiałem; pierwsze uczucia, u kobiet zwłaszcza, mają jakąś wstydlivość, pragną tajemniczości, nie chcą się przyznać wprost, że istnieją, drażliwe są jak mimoza na lada dotknięcie.

Każda miłość jest tajemnicą serca, a cóż dopiero pierwsza!.. A jednak dziwna sprzeczność łączy się z nią najczęściej; chciałoby się o niej tylko rozmawiać z całym światem a zarazem przed całym światem ją ukrywać. I ztąd zapewne te rozmowy z niemymi sprzymierzeńcami, którzy bez wymiany słów, słuchają spowiedzi gadatliwego serca, te rozmowy rozmarzonej duszy

kochanków z milczącymi gwiazdami na niebie, z kwiatami na ziemi, z cichą nocą wśród dumań samotnych!..

Jakiejs niedzieli wieczorem siedzieliśmy we troje: ja i oboje Żaliwscy pod werendą pałacu od strony ogrodu; duża japońska lampa o kolorowych przezroczach zwieszała się nad stolikiem z zastawą do herbaty i rozlewała łagodne światło wśród cieni wieczoru.

Po skwarnym dniu zapadła noc cicha, milcząca, w której objęciach zdawała się usypiać cała znuzona natura. Ani listek zaszeleścił, ani jedno tchnienie wietrzyka nie przemknęło w powietrzu; geste cienie jak czarną gazą otulały ziemię, kłoby śpiących kwiatów przed werendą i grupy drzew rysujące się w fantastycznych sylwetkach na tle nieba, z którego noc jeszcze nie mogła do reszty zetrzeć złotawo-błękitnej poświaty zachodu.

Rozmowa się przerwała; pani Hieronimowa bujała się zlekka w fotelu na biegunach z głową w tył przechyloną, z oczyma utopionemi w srebrnawych chmurkach na niebie. Pan Hieronim w zamyszeniu puszczał kółka dymu z zapalonego cygara, ja stałem oparty o drzwi salonu i słuchałem tej wspaniałej wymowy milczenia, którą ma letnia noc na wsi.

Naraz cichutko, nieśmiało w pianissimach przytłumionych odezwał się z wnętrza domu fortepian; jakaś smutna, rzewna, rozplakana dumka wypłynęła spod klawiszów instrumentu.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

LISTY J. I. KRASZEWSKIGO Z MAGDEBURGA.

XIV.

Kto z obowiązku i nawyknięcia zajmować się musi wszystkim, co się dzieje na tym padole płaczu; kogo zaciekawia wszelka produkcja umysłu ludzkiego tak, iż przyzwyczajenie staje mu się drugą naturą: dla tego niema książki, po którąby z ciekawością nie sięgnął i którąby mu nie przyniosła jakiego nowego promyka wiedzy. My, literaci, skazani jesteśmy na czytanie książek z musu. Opowiadają o mużułmanach, że szanują najmniejszy skrawek białego papieru mówiąc sobie przytem: „kto wie? może na tym papierze wypisane jest imię Boga...“ My również szanujemy każdą książkę, choćby najskromniejszą, wmawiając w siebie, że umysł ludzki, nawet bezświadome, mógł wpisać w nią jakąś prawdę, po którą warto się schylić.

Dzieje się też, że co do mnie, czytam i czytam; biorę do ręki wszystko, co mi pod rękę wpadnie, stare czy nowe: dziś *Boecyusza*, którego mi poczciwy Lenartowicz tylko co nadesłał, jutro jakąś fraszkę francuską, potem broszurę niemiecką doktora polaka, potem kronikę miasta, do którego mnie los przykuł, a wreszcie wszystko, co ludziska piszą o waszej wystawie warszawskiej.

Kiedy się myślą przeniosę o 50 lat w tył — co za różnica! Jaki postępek w złem i w dobrem! Jaki ogromny rozwój sił z jednej strony, jakie oziębienie i obojętność z drugiej! Praca ludzka cudów dokazuje: a umysł ludzki przygnębiony jest jednocześnie pesymizmem i smutkiem nieuleczalnym. Choćby nawet wydać się miał zadowolonym, pomimo wszystkiego składam optymistyczne wyznanie wiary. Życie jest znojne, cierpienia przybijają do ziemi, nie stąpa się po różach w tem życiu: to prawda, ale świat nawet mimo chęci idzie ciągle ku czemuś lepszemu, drogi tylko ma przed sobą cierniste. Indywiduum nie wchodzi tu w rachubę: trzeba brać Ludzkość w całości, według niej sądzić, a nie według jednostkowego bytu człowieczego. Ludzkość jest wszystkim; indywiduum tylko okruszyną. Kto tak patrzy na świat, ten wytłómaczy sobie

wszystko, i nawet niesprawiedliwość, uzna za prosty przypadek.

Ale powróćmy do przeczytanych książek. Poszukując strawy umysłowej dla moich dni tak długich i moich bezsennych nocy, na które opium nawet samo częstokroć nie poradzić nie zdoła, przypadkiem wziąłem do ręki książkę, po której niewiele sobie obiecywałem... lecz — *à la guerre comme à la guerre* — zacząłem ją czytać. Autorem jej jest jeden ze współpracowników *Figara*, p. Karol Chincholle; tytuł wcale nie pociągający brzmi: *Ocaleni z komuny* (*Les survivants de la commune*; Paris Boulanger, 1885 str. 234). Nie spodziewałem się tu znaleźć rzeczy zbyt zajmujących; ale pamiętałem o tem, że w modę dziś weszły studia piśmologiczne we wszelkich możliwych przedmiotach.

Ow p. Chincholle — bardzo proszę — nie jest to wcale jakiś początkujący pisarz. Napisał już i wydrukował, bądź sam bądź we współpracownictwie z innymi, z jakie sześć tomów romansów, tyleż sztuk dla teatru, a na dokładkę jeszcze — parę tomów filozofii (!), fantazyi etc.

Jako pisarz jest on poprawny, nie chodzi na szczytach i wydaje się człowiekiem dobrej wiary. Nie potrzebuję umyślnie mówić, że, będąc współpracownikiem *Figara*, jest konserwatystą — razem i monarchistą. Do studyów swoich nad komuną zabrał się bądź-to z zamiłowania przedmiotu, bądź też dla zadośćuczynienia wymaganiom dziennika, w którym służy — a przynajmniej że je przeprowadził z wielką bezstronnością.

Dzielko zostawia na boku takie wielkości komuny jak: Rochefort, Ranc, Humberti t. p. *Les survivants* dzielą się na pięć seryi: członkowie komuny, żołnierze, kobiety, różni sekciarze polityczni i muzeum komuny. W przedmowie p. Chincholle mówi: „Jest to książka napisana z dobrą wiarą. Wystrzegaliśmy się wszelkich obelg. Poprzestaliśmy na nagromadzeniu faktów, na któreśmy patrzyli. Większą część ich poddaliśmy kontroli naocznych świadków, niektóre nawet sprawdził w samych interesowanych“. Trzeba oddać sprawiedliwość autorowi: jest on powściągliwy i trzyma się przykładnej przedmiotowości. Pewien chłód, bezstronność, nie opuszcza go podczas pisania. Jest to zdanie sprawy z faktów, które się zebrało — wypracowanie godne reportera.

Gdy się książkę przeczytało, najpierwszą uwagę, jaka się nasuwa na umysł, jest ta, że bardzo a bardzo znaczna liczba tych „Ocalałych z komuny“, przedzierzgnęła się w milionerów, urzędników, handlujących, literatów bardzo wziętych — wreszcie — czy mam powiedzieć? — wielu z nich służy dziś — w policji!

Oddział poświęcony kobietom Komuny nie jest najmniej zajmującym ze wszystkich. Jest ośm tych kobiet, które przeżyły Komunę, a najwybitniejszą z nich, oczywiście, słynna Ludwika Michel. P. Chincholle przypadek wyświadczył prawdziwą przysługę: pozwolił mu spotkać się z jedną z jej znajomych od dziecka; dzięki temu artykuł o Ludwice Michel jest tak długim, że sam przez się zajmuje prawie połowę całego tomu. Studium to jest prawdziwie ciekawe i ono to skłoniło nas głównie do obecnej wzmianki.

Odchylił tu tylko zasłonę z przeszłości wstrzymując się od wszelkich sądów o teraźniejszości. Historia to wielce nauczająca. „Jakaś nauczycielka — pisze owa przyjaciółka — przedstawiła mi pannę Ludwikę de Mailly. Tak nazywały jeszcze Ludwikę Michel przyjaciółki jej z czasów dziecięcych i ludzie z jej wsi. Ona sama nosiła je długo jeszcze w Paryżu po śmierci swego dziada. Te panie nauczycielki, katoliczki, wiernie dochowujące wszelkich praktyk, bardzo miłosierne, uskarżały się na wszelkiego rodzaju utrapienia i nędze. Ludwika dawała z siebie jeszcze ten zapal przywiązania, który ją zgubił. Uczułam w sobie pociąg nieprzeparty ku temu szlachetnemu sercu, ku temu umysłowi zdobnemu w tyle darów, któremu żdźbło waryactwa dawało jeszcze podbijającą siłę. To żdźbło rozrosło się później tak olbrzymie! Jest to dziedzictwo rodowe. I ojciec jej i bracia ojcowscy pomarli hypokondrykami, nieomal waryata-

mi. Ludwika, urodzona w pałacu, otrzymała wychowanie takie, jakgdyby była prawem dziecięciem. Dziadek sam wychowywał swoją wnuczkę za pomocą książek i rozmów; dziadek to wprowadził ją w zetknięcie ze wszystkim: z religiami stanowionymi, z nauką, z systematami filozoficznymi, ze sztukami pięknymi. Poznała to wszystko, ale tak tylko, po łebkach, bez żadnego porządku, bez najmniejszego przetrwania w umyśle. W pałacu de Mailly oglądała Ludwika dwukrotnie W. Hugó. Z uwielbieniem dla poety złączyło się przywiązanie namiętne, za które ręczyć mogą w sposób usuwający wszelkie wątpliwości. Zawiązała się korespondencya dość częsta i, oczywiście, szlachetna exaltacya tego mózgu wyrażonego z równowagi — jeszcze się bardziej od niej wzmogła“.

„Stopniowo teorye humanitarne mistrza, wyolbrzymione w tajemniczych mistycznych formach, jakich poeta używa dla nadania swym poezjom prorocznego tonu — teorye te zajęły miejsce żarliwej wiary i cichych cnót chrześcijańskich. W duszy zabłysło marzenie: postanowiła oddać się na usługi Ludzkości, dla jej zbawienia.“ A nieco dalej przyjaciółka owa dodaje: „Kiedy poznała Ludwikę, nie myślała bynajmniej o niczem podobnem: kierowała domem jednej bardzo starej nauczycielki, niosąc jej pomoc talentem swoim i poświęceniem; przygotowywała z wielką gorliwością uczennice swoje do pierwszej komunii; dziewczęta, które ona uczyła, były pierwszymi na egzaminach z katechizmu. Ludwika, wielce uczona, doznawała wysokiego poważania u katechizatorów — jakkolwiek notatki z ich wykładów lubiła niekiedy ozdabiać szkicami humorystycznymi, z których najpierwsi śmieli się właśnie sami nauczyciele“.

Dość już; zamykam książkę. Nieprawdaż? wszak ta geneza kobiety, która się później komunistką i socyalistką stała — jest prawdziwie zajmująca... Choroba rodzinna — i poeta, który ją rozwija, ani się tego nawet domyślając!

Czytając tę długą biografię, której nie chcemy i nie możemy tutaj odtwarzać, doznaje się jakby litości dla tej biednej zbłąkanej. Chincholle mówi i powtarza: „Dla tej kobiety miejsce właściwe nie jest w więzieniu, ale w jakim domu zdrowia“. Smutne.

Ale oto jest coś, co nas rozerwie i sprowadzi napowrót do rzeczywistości. Książka ma tytuł: *La vie et les lettres de M. Bonaparte, recueillies et publiées en anglais par E. Didier; traduction de A. O. Munro* (Paris, Ollendorf, 1885 308 pp. 8-o).

Nigdy nie spotkały się ze sobą dwie rzeczy tak wręcz sobie przeciwne, jak te dwie książki na moim stole. P. Bonaparte jest typem zimnego egoizmu, który dla siebie i dla innych ma sztywne niewzruszone formy — a jest nieubłagany, despotycznym. Wszystko jest u niej wyrachowaniem, zacząwszy od pieniędzy, skończywszy na stosunkach rodzinnych. Ambicya, próżność, żądza błyszczenia w wielkim świecie — wypędzają tę lodowatą istotę z Ameryki, każą jej opuścić ojca i siostry, znosić wszelkie niewygody życia przez szereg długich lat, ażeby potem wszystkim zdobyć sobie mogła to miejsce w towarzystwie arystokratycznym, które los równie prędko zająć jej pozwolił, jak prędko później wydarł. Ona sama uważała się za przeznaczną do tego wyższego życia i, raz znalazłszy się na stanowisku, broniła go już do upadłego.

W pierwszej młodości poślubiona bratu cesarza, który nie chciał uznać tego małżeństwa, bardzo prędko opuszczona przez męża, który się jej zaparł, wsiada na okręt i przybywa do Europy, aby tu błyszczeć zadziwiająco swoją pięknoscą, swoim dowcipem, i zdobyć sobie wybitne miejsce w kosmopolitycznym świecie arystokracji.

Nic charakterystyczniejszego nad jej listy, nic niemilosierniej monotonnego nad jej życie — bez miłości, bez przywiązania, bez współczucia dla kogokolwiek bądź. Mając niewielki majątek, umie p. Bonaparte przez brudne prawie skąpstwo zebrać miliony i urządza sobie życie w sposób tak niewzruszenie jednostajny, że dzięki temu mechanizmowi przeciąga je aż do dziewięćdziesięciu czterech lat wieku. Przyjrzyjmy się bliżej tej biografii, jedynej w swym rodzaju.

Rodzina Pattersenów, bogatych kupców z Filadelfii, zawdzięczała swój świeżo zrobiony majątek, ojcu młodej Elżbiety, p. Williamowi Patterson. W r. 1803 Hieronim Bonaparte, brat Napoleona, który miał już zostać Wielkim, przybył do Nowego Yorku. Przyjęto go z jaknajwiększymi honorami. Zaproszony do Baltimore, spotyka tam na balu Elżbietę Patterson, liczącą zaledwie osmnasty rok życia. Jej piękność, jej dowcip wywierają na nim wrażenie głębokie. Oczarowany jej wdziękami, decyduje się na małżeństwo, nie spytawszy się poprzednio brata swego o pozwolenie Pattersonowie przewidują trudności, chcą przeszkodzić małżeństwu; ale panna chętnie przystaje — chce być żoną Bonaparte — i w Wigilię Bożego Narodzenia r. 1803, ślub odbywa w jaknajuroczystszej formie.

Po bardzo krótkim pożyciu we dwoje, Hieronim otrzymuje rozkaz powrócenia do Francji, ale żonie jego nie wolno postawić stopy na ziemi francuskiej. Żona mimo to, jedzie razem z mężem i nie wraca już więcej do Ameryki — rzadko kiedy tylko do niej zajrzy i to na krótko. Władze francuskie unieważniają małżeństwo. Hieronim zachowuje się wobec tego z zupełną obojętnością; później daje nawet dowody okrucieństwa, na jakie tylko zdobyć się mógł nieubłagany interes dynastyczny. Na odprawę, Napoleon chce dać p. Bonaparte-Patterson jakąś indemnizacyą; ona odrzuca, później wszakże przyjmuje od cesarza 60,000 fr. rocznej pensyi. Nie przestaje się przeciw nigdy uważać za prawowitą żonę księcia, a później króla, Hieronima i oddaje się całej interessom syna swego i — samej sobie. Przemieszkuje w Szwajcaryi, w Genewie, potem we Florencyi, w Rzymie, później nawet w Paryżu, i umie tyle ruchliwością i zręcznością swoją dokazać, że wielu członków rodziny Bonapartych uznaje ją i przyjmuje u siebie. P. Bonaparte-Patterson oczarowywa wszystkich swą pięknoscą i przymiętami umysłu.

W owej epoce wyrzekła się była już zupełnie Ameryki i znać jej nawet nie chciała. Przy nadzwyczajnej piękności, którą błyszczała jeszcze w pięćdziesiątym roku życia, przy zdolnościach i dowcipie, przy niezwykłym takcie w obejściu, umiała sobie wytworzyć pozycyą wyjątkową. Same jej stosunki dowodzą, że była kobietą z głową, potrafiła bowiem sobie zdobyć i zatrzymać przyjaźń Metternicha, Wellingtona, Lamartine'a, pani de Genlis, Lady Morgan, Tomasza Moore'a — i wielu innych znakomitości.

Wychowanie, jakie dała swemu synowi, sposób życia, podróże przez oszczędność odbywane dyplomasami pocztowymi rady udzielane dziecku: wszystko to dowodzi nadzwyczajnej oschłości serca, — egoizmu prawie przestraszającego. Nic kobiecego niema w tej kobiecie, która wszystko robi z wyrachowania i nie ulega nigdy żadnym porywom serca. Interes jest zawsze jedynym jej przewodnikiem — pieniądz albo pycha. Co to za jowiszowa pogarda wieje z tej lodowatej duszy, gdy jej przyjdzie mówić o współobywatelach w Ameryce! To ludzie, z którymi żyć nie podobna... W stosunkach do ojca przebija się ciągle nieposłuszeństwo i lekceważenie. Z początku ten ojciec znosi ją, jak może, daje jej nauki, ale potem potulnie wyrzeka się wszystkiego i w testamencie dopiero rzuca skargę na dziecko. Ona tymczasem sama prowadzi swe interessa, z kunsztem nie do uwierzenia, i uwieńcza życie swoje nagromadzeniem kilku milionów dolarów, wskutek niesłychanej oszczędności.

Chcąc powziąć wyobrażenie o bycie tej istoty, o jej charakterze, potrzeba czytać jej listy. Nie są one zajmujące, ale są wielce charakterystyczne. Wszystko sprowadza się w nich do wyrachowania zysków pieniężnych i nasyconej próżności. Utrzymać się na stanowisku i zebrać sobie środki potrzebne: oto jedyny cel jej w życiu.

Kocha syna, ale poswojemu: nigdy nie okaże mu najmniejszej czulości. Jeżeli się zdarzy, iż który z Bonapartych podarował mu choćby kilka set franków renty, zaraz matka, o taką samą sumę zmniejsza mu pensyą roczną. Nad kapitałami i rentami swemi czuwa lepiej jeszcze, niż nad własnym synem. Przyjęta na dworze florenckim przez wielkiego księcia, który okazuje jej nad-

zwyczajną uprzejmość, p. Patterson-Bonaparte jest już odrazu w siódmym niebie, czuje się nad wszelki wyraz szczęśliwą, nie znajduje słów zachwyty dla całej rodziny wielkoksiażęcej. Chcąc w towarzystwach błyszczeć w sposób godny Bonapartych, pomimo skąpstwa swojego, każde sobie sprwadzić z Ameryki białych topazów, któreby udawały brylanty; a w liście zlecającym ów zakup nie zaniedbuje dodać, że topazy przysłać trzeba przez kogoś jadącego do Europy, aby nie płacić cła.

Poróżniwszy się ze swym ojcem, pokłóciwszy z synem — z powodu jego małżeństwa, które przebaczyła mu dopiero po wielu latach — sama jedna, ze swymi dollarami, domami, rentami, ale bez przyjaciół, bez jednego ludzkiego serca, stara, utyskująca na świat i życie, ta kobieta obudza zarazem litość i wstręt. Nie widzimy, aby się starała zbliżyć do rodziny, zyskać życzliwość, przywiązać się do kogo. Do śmierci już pozostaje zimną, samotną, odciętą od świata, z żądłami swej nienawiści i podejrzeń. Rozum do końca jeszcze dotrzymuje placu, ale serce dawno już było zamarło.

W listach do Lady Morgan dotyka p. Bonaparte-Patterson przedmiotów trochę bardziej zajmujących: mówi np. o literaturze, o książkach i t. p. Ale tu właśnie ani śladu jej zdolności umysłowych, tego dowcipu, który mógł każdej rozmowie przez nią prowadzonej nadać wdzięk uroczy. Nic: żadnego świetnego rysu, nic oryginalnego, własnego, idącego z ducha; sam tylko zdrowy rozsądek, bardzo pospolity, i pesymizm rezygnacyj już przejęty. Ponieważ więcej niż o dowcipie, mówiono o jej zachwycającej piękności, którą zimny temperament pozwolił jej dochować do późnego wieku: nasuwa się więc domniemanie, że ten wdzięk zewnętrzny, plastyczny, grał wielką rolę w pochwałach, jakie od dawno niepodzielnie całej osobistości.

Aż do ostatniej chwili — mówi biograf — zajmowała się żywo polityką europejską, ale nie pomyślała nigdy o tem, co się dzieje z Ameryką. Kiedy Murzynów dopuszczono do kongresu, p. Bonaparte zrobiła uszczypliwą uwagę, że w senacie były już pawiany, a w Izbie są małpy — i że można już teraz mówić o osiągnięciu właściwego celu zasad republikańskich.

W ostatniej chorobie, kiedy ktoś zwrócił uwagę, że w życiu niema nic tak pewnego, jak śmierć — chora odparła lakonicznie:

— Z wyjątkiem podatków!

Dalszy ciąg „Książki pamiątek“

N. ŻMICHOWSKIEJ

znaleziony w papierach autorki.

(Dalszy ciąg).

„Inni ludzie niech się o nas nie troszczą“ — jak to łatwo rzucić przed siebie głosem, a jak trudno w sobie prawdziwym życzeniem osadzić, pominąwszy już, że od ludzi uprosić niepodobna. Człowiekowi ten bodziec sądu ludzkiego, jak woda rybnie do oddechu potrzebny — każdy Filip ma swoje Ateny, o które się ciągle dopytuje: a co tam w nich mówią o nim? Dwie tylko są chwile zupełnego zpod sądów ludzkich wyzwolenia: kiedy chcemy coś bardzo dobrego zrobić — albo coś bardzo złego popełnić — w jednym i w drugim razie „ludzie niech się o nas nie troszczą“ — nie ich pochwała zachęta będzie — nie ich groźba powstrzymaniem. Ze strony Romualda wyrażenie takie strachem mię tylko i oburzeniem przejęło — znałem, nie przez siebie, ale przez drugich cały kurs nauki obyczajowej w obiegu między naszą młodzieżą będącej.

— Czy mógłbyś mi dokładniej znaczenie tych słów określić? — zapytałem więc Romualda surowo, jak sędzia, z badawczym, jak inkwizytor, spojrzeniem.

— Mógłbym, ale nie chcę — odrzekł, zuchwale wzrok mój przetrzymując; wkrótce jednak oczy mu zlagodniały, wyciągnął do mnie rękę. — No — mówił dalej swobodniej — aby raz ten hultaj Romuald poczciwszym będzie od ciebie. Ludwiku, ty najmniejszego nie masz we mnie zaufania, ty na mnie kamieniem, ja na ciebie szczerością i chlebem. Nie lękaj się: w moich słowach była tylko pod twoim adresem groźba wyzywająca — dla Helusi nawet cienia złej lub uwłaczającej myśli nie było. Helusia wyrosnie na znakomitą artystkę, tłumy całe uwielbieniem ją otoczą — ja, pokorny, zdala modlić się będę, żeby nie odepchnęła pierwszego uczucia, co ją na progu jej królestwa powitało, żeby nie wstydzila się przed ludźmi nazwiska, co przy jej imieniu tak pospolitem, tak nieznanem wyda się wtedy!

Uściskałem poczciwego chłopca, jakgdyby mi kamień z piersi odwalono. Lżej mogłem oddychać, uwierzyłem artyście i przyszłości — ha! bo miałem lat dwadzieścia cztery...

— Czy chcesz mi wielką łaskę wyświadczyć? — rzekłem po tym moim najtkliwszym uścisku.

— Łaskę! — zawołał ze zwykłą już sobie wesołością Romuald. — Niech dzisiaj wszyscy zgłaszają się o łaski do mnie. To właśnie dzień łask moich, dzień nieodmownych odpowiedzi i dotrzymywanych obietnic. Słucham, słucham, przedstawiaj swoją petycję.

— Najjaśniejszy, bo najszczęśliwszy Romualdzie! proszę cię więc bardzo, proszę koniecznie abys rozmowę naszą i projekta swoje co do słowa pannie Maryi Reginie powtórzył.

— A. nie inaczej, powtórzę, bądź pewny, że powtórzę, nawet bez twojego wniosku sam z własnego uczyniłbym to natchnienia. — Romualdowi się zdawało, że mnie tylko gwarancja Maryi Reginy potrzebną jest na upewnienie się względem losu Helusi.

— Kiedys już taki zgodny — rzekłem jeszcze — to w liczbie dotrzymywanych obietnic na mój rachunek zapiszesz jedną prócz tego obietnicę.

— Jaką? gotów jestem — i copredziej wydobywając kieszonkowy pugilares, z ołówkiem w ręku czekał na dyktowanie.

— Zapisz, mój drogi, że jak odjadę, mieszkania tutaj nie wynajmiesz. — Romuald pugilares i ołówek do kieszeni schował.

— Już co tego to nie przyrzekam — albo ty zostań, albo ja się kwateruję.

— Jestem pewny, że gdy się lepiej zastanowisz...

— Nie głodnym zastanowienia, wcale nie mam apetytu na zastanowienie — przerwał mi pośpiesznie, za kapelusz chwytając. Bądź zdrow, przewielebny kaznodziejo! miałbyś dziś we mnie nader nieuważnego słuchacza.

— Pozostawiasz mi przynajmniej nadzieję, że jutro powolniejszego mieć będę?

— Oho, zobaczymy!

— Oho! zobaczymy! — powtórzyłem z uśmiechem i szedłem za nim na schody, jak to zwykle bywało, gdy w przedłużanej gawędce, bez czapki częstokroć nam róg ulicy go przeprowadzałem. Tym razem gość mój nie miał bardzo zadowolonej tą grzecznością miny, łatwo mogłem zmiarkować, że byłby się zupełnie obszedł bez mego towarzystwa. Pez-to czasem zmian i przewrotów jedno słowko wywołuje! Na parę godzin pierwej, gdybym mu był pozwolił wejść za sobą do pokoju pani Agnieszki, nie posiadałby się z radości, czułby dla mnie wdzięczność nieograniczoną — wiedziałby i pamiętał, że to ja go moją nauzczyielską powagą osłaniam i proteguję — lecz usłyszał odemnie tylko to jedno: — „Helusia może cię pokochać“ — zaraz nadęta pycha rogi swoje pokazała — z użytecznego stałem się mu wcale nie miłą zawadą, a gdy jeszcze spostrzegł drzwi do mieszkania ślusarzy na wpół otwarte, wyraźnie to widziałem, że byłby mi z ochotą za dziesiątą granicę wyprawił.

— No, żegnaj, mój Ludwiku — rzekł niby najnaturalniejszym głosem, lecz całą siłą akcentu w uściśnienie mej ręki przeniósł i dobitnie zrozumiałem, że to miało znaczyć: „Idź precz sobie! albo niech cię tam...”

Uparłem się jednak i dodatku objaśniającego nie pojąłem. Pierwsze spotkanie Romualda z He-

lusią po takiej ważnej rozmowie nadzwyczaj mnie zaciekawiało lub właściwiej się wyrażając, niepokoiło mnie serdecznie.

— Mogę ci towarzyszyć aż pod sam teatr, bo mi właśnie obowiązkowa w tamtej stronie wizyta wypada — odpowiedziałem z równą napozór nieumysłnością.

Romuald zatrzymał się i ręką w czoło uderzył.

— Teatr! No, widzisz, zupełnie o teatrze zapomniałem, a to był główny cel moich odwiedzin. „Łucyą“ dziś dają, Marya Regina wybiera się z pułkownikową i z panną Ireną. kazały mi się spytać te panie: czy będą mogły po Helusię nad wieczorem przyjechać? My we trzech z Kazimierzem do krzesel odkommenderowani. I cóż? Pan Ludwik zatwierdza nasze rozporządzenia?

Panu Ludwikowi w głowie się coś zamąciło, że te dwa dni poprzedzające, te dni bez gwiazd i słońca, to niebyłoby jakaś w jego życiu. Nic się przecież nie zmieniło, wszystko tak jest, jak przedtem bywało. O pana Ludwika się dopytują, panu Ludwikowi przesyłają uwiadomienie o różnych projektach, z panem Ludwikiem chcą dzielić chwile zabawy, układać przedsięwzięcia: wszystko tak jest, jak przed tem bywało, tylko „przed tem“ co najmniej to przyjazną życzliwość znaczyło, a teraz „po tem“ co znaczy? Może lekceważenie, może litość, może sprawiedliwość sumienną? Na pierwsze nie zasługuję, drugiej nie chcę, o trzecią już nie dbam. Dzisiaj nawet żal twój, Maryo Regino, dziś twej pomyłki uznanie jużby wystarczyć nie mogło, kochaj, lub znikaj na zawsze, bądź jedyną moją aż do grobu, lub nawet poza grobem, zdala od wiečnosti mojej!...

Tak więc na przedstawienie Romualda wszystkie mi koło serca arterye wezbrały, planów jego wszelako zatwierdzić nie mogłem, z drugiej strony jednak nie chciało mi się nowej sprzeczki wszczynać i nowego śledztwa przechodzić, pośrednią zartu wyslizgnąłem się drogą.

— Ej — rzekłem z uśmiechem — przyznaj się, Romualdzie, że ci w tych wszystkich układach najmniej własnie o pana Ludwika chodzi.

Romuald odśmiecchnął mi się bardzo wdzięcznie słowa moje wziął za to zwykłe „prześladowanie“, które wszędzie rozkochanych ściga, a jednak nie bardzo im dokuca; jest to wprawdzie pewien rodzaj cła zwyczajowego, jest cięń, długą czasem karykaturą za szczęściem, jak za ciałem człowieka ciągnący; ależ cło się płaci od towarów, co nam zyski wróżą, cięń pada wtenczas tylko, kiedy słońce świeci i prześladowanie ma swoją dobrą stronę: tak nam daje prawo śmiać się w oczy tym, którzy z nas się śmieją, tak pozwala nie dbać o cudze słowa, nie troszczyć się o nikogo, tak upoważnia, osmiela, zachęca, że istotnie, radzi mu jesteśmy więcej nawet... niż skrzeczeniu żab na wiosnę. Zrobiłem prócz tego małe spostrzeżenie, że kto „prześladuje“ ten najczęściej sprzyja naszemu uczuciu. Stanowcza opozycya, póki z otwartem *veto* nie wystąpi, póty jest milczącą głęboko i ślepą na wszystko. „Gdzież to podobnem, aby pan X lub Y kochał się w mojej córce? starał się o naszą kuzynkę? miał wzajemność naszej siostry, synowicy, siostrzenicy i t. d.“ — Gwiazdy na niebie koło swoich osi z większą spokojnością się nie kręcą w stosunku do ziemskich glist i kretów, jak niektóre powagi familijne w stosunku do uczuć młodocianych, do serc dla siebie stworzonych, do przeznaczeń spotykających się w życiu. Cóż dziwnego, że Romuald zapytanie moje przyjął radośnie, jakoby pieczęć kanclerską na dyplomie nowych swoich tytułów i godności? Odśmiecchnął się więc, jak to już wspominałem, a przechyliwszy się trochę do ucha, półgłosem mi rzucił:

— Mylisz się: najmniej mi chodzi o pannę Irenę... nie, nie, nie gniewaj się, już wiem co chcesz powiedzieć, bardzo szanowna osoba! bardzo znakomita panna! Przespraszam cię, szlachetny rycerzu, na zadosyćczynienie powiem chyba, że mi najmniej chodziło o... o Helusię...

I domówiwszy tego imienia, tak prędko, jak wiewiórka, na dół po poręczu się spuścił.

(Dokończenie nastąpi).

NOWINY PARYŻKIE.

Paryż, d. 30 Czerwca 1885 r.

Wystawa doroczna Sztuk Pięknych. — Miernota i ubóstwo. — Polscy artyści na tej wystawie: Malarze: Brandt, Chełmoński, Przepiórski, Gąsowski i Merwart. — Snycerze: Godebski, Rosowski, Boryczewski, Hegel, Rapf, Marcinkowski. — Rytownicy: Konarski, Jasiński, panna Płużańska. — Rysownicy: panna Bilńska, Dziekońska, księżna Jabłonowska, Duchńska, pp. Ostrowski i Rejhan. — Śmiertelność na wyżynach. — Pośmiertne wspomnienie o Toussenelu i kilka szczegółów z jego biografii. — Szkoła naturalistyczna w wielkim świecie. — Piśmiennictwo w budoarach pańskich. — Różne różności.

(Dokończenie).

Takim był w istocie nieboszczyk, kiedy go poznał przed ostatnią wojną 1870 r. Wyglądał bardziej na zamożnego chłopca, niż na oficera, w ogromnych podkutych, jakby podkowami, trzewikach, w bluzie, z krótką fajeczką w zębach. Był to prawdziwy typ ogrodnika lub hreczkosieja z okolic Paryża.

Gawędziarzem był nadwyzczaj miłym—jeden z tych typów szlacheckich, jakieśmy znali u nas, za którymi przepadał Mickiewicz, nazywając je „największymi poetami“. Gdysmy się wdali w rozmowę o ptakach, rozповідаł mi historie o ptakach naszych, jakgdyby znał je na wylot. Pamiętam pewne szczegóły o sikorce, które mi tak przypomniały samotrzaski i sidelka z lat moich chłopięcych, że rozrzewniony, ściskając szorstką dłoń Toussenela, prawdziwie języka zapomniałem w gębie. Słuchając tych jego opowiadań orozumnie ptaszat:

— Nie, nie — wołałem — nie różnią się one od ludzi, tylko chyba mową. — „Obmawiasz pan ptaszki—odpowiedział surowo—są one lepsze i rozumniejsze od ludzi.“

Toussenel w początku życia, do lat trzydziestu, cały był oddany uprawie roli i gospodarstwu, które prowadził na dość obszernym własnym folwarku. Później dopiero wziął się do pióra i zaczął od dziennikarstwa politycznego—i jako zwolennik gorący Fourier'a w politykowaniu swem był nawet socjalistą. W takim duchu redagował dziennik *La Paix*, a później *La Democratie pacifique*. Miał nawet powierzony sobie jakiś urząd w Algierii, ale po 1848 roku, widząc wszędzie zawody i oszustwa, usunął się od dziennikarstwa i od polityki i prowadził życie filozofa na ustroju, a literata z miłości nauki, ale zawsze więcej wydając w gawędzie, niż pisząc. Oprócz wspomnianej już książki *Rozum Zwierząt*, która zapewniła mu sławę pierwszorzędnego stylisty i spostrzegacza niesłychanej subtelności, Toussenel zostawił jeszcze: *Zydzi, królowie tej epoki* i kilka broszurek ulotnych. W r. 1852 wyszedł w nowej edycji jego *Świat ptaków*, który jest i zostanie w literaturze francuskiej jednym z klasycznych dzieł w tym rodzaju.

Niezaprzeczoną jest prawdą, że natura była, jest i będzie największą mistrzynią pisarzy i artystów, ale—*est modus in rebus*. Nie wszystko w naturze może służyć za modłę i nie wszystko może być przydatne do użytkowania w literaturze i w sztukach. Szkoła naturalistów nie rozumie chyba tego wcale: ztąd dziwolągi i niesłychane wybryki, z jakimi spotykamy się tu co chwila w malarstwie i w literaturze *nadobnej*(?). Dobrze jest, i należy studyować naturę, znać dobrze i gruntownie tę „Alma Mater“, ale niegodnie jest, obdzierając ją żywcem ze skóry, udawać, że się tworzy arcydzieła. Tak jednak się stało, z tymi, którzy przyszli ostatni na to pole popisu i zrozumieli jedno tylko: że trzeba brać wszystko z natury i *in naturalibus*. Zdaje się im, że pierwsza lepsza awanturka zakulisowa, pierwsza lepsza występna intryżka, pierwszy lepszy skandal—zdolne są dać powód do stwarzania zaraz arcydzieła. Ztąd cały szereg powieści, o których nawet niepodobna jest mówić, choćby nawet nie wiedzieć jak obwijać w bawełnę, i obrazów, od których trzeba chronić wzrok dzieci i młodzieży.

Dziwną jest również rzeczą, że te podejrzane

wartości i moralności wyroby wychodzą często ze źródła, gdzie ich bynajmniej nie spodziewamy się znaleźć. W tak zdemokratyzowanej społeczności, jaką jest tutejsza, łatwo jest bardzo przypuścić, że ci, którzy zdolnością albo pracą wywindują się w końcu na najwyższe szczeble w literaturze, lub sztukach, nie przynoszą zawsze z sobą tej delikatności, wykwinności towarzyskich stosunków, jakie są zwykle owocem bardzo starannego wychowania. Łatwo się to pojmuje, kiedy osobistości tego rodzaju wychodzą z łoża odzwiernego, albo ze sklepiku tandeciarza. Ale znaleźć je w salonach i budoarach arystokratycznych, gdzie ich nie ma nie zmusza do tych występstw przeciwnych wszelkim tradycjom miejsca i wszelkim warunkom bytu—stanowi to niepokojący fenomen.

Księżna Katarzyna Radziwiłłowa, córka Adama Rzewuskiego wyszła za mąż za księcia Wilhelma Radziwiłła, brata tego, który w roku 1883 zaślubił córkę p. Władysława Branickiego. Brat męża księżny Katarzyny jest to właśnie książę Edmund, jeden z dygnitarzy Kościoła Katolickiego, przez pewien czas w opinii publicznej przyszyły kandydat do prymasowskiej infuły. Wesoła bratowa, a pochop do pióra mając z krwi Rzewuskich, bawiąc się utworzyła dość dziwną powieść pod tytułem: *Labbe de Morvan*, w której główne role miały być powierzone samej autorce i jej szwagrowi. Ostrzeżona wczas rodzina wykupiła całą edycję—oprócz kilku exemplarzy.

Czy—to z powodu różnicy zasad, czy dla jakiej innej przyczyny—autorka widocznie nie cierpi szwagra. A szukając modły dławstrętnego jej bohatera, musiała zacerpnąć ze wspomnień literackich i trafiła na Wiktora Hugo *Notre Dame de Paris*, i ztąd ukazała go w postaci dawno zużytej, jakiegoś zmniejszonego Klaudyusza Frollo. Ta skazówka powinna nam wystarczyć. Wspomniemy tu jeszcze o jednym—pseudonymów niewieścich, o którym nieraz już była wzmianka w szpaltach *Bluszczu*, bo zamaskowana autorka znalazła miłe przyjęcie u naszego więźnia w Magdeburgu.—Pozwolę sobie tylko zdjąć z nadobnej twarzy maseczkę, dość zresztą przejrzystą dla tutejszych ludzi. A ponieważ nie mogę tu nie wyrazić oprócz pochwały bardzo zasłużonej: nie przyczyni więc to żadnej szkody, ani dziełom, ani autorce; a osobista znajomość lepiej nawet posłuży, niż wszystkie domysły.

Mówiliśmy tylko co o pani hrabinie de Mirabeau, która również pod pseudonymem wydaje powieść—a nawet próbowała i teatru pod imieniem: „Châteaufort'a“. Otóż pokazuje się, że w tej rodzinie zawód pisarski uprawia się dosyć często po kądzieli. I tak, znany już wam *Gyp*, autor *Matego Boba*, *Okolo małżeństwa*, ten sprytny i wesoły *Gyp*—jestto rodzoniusienka córka pani de Mirabeau, a z męża—pani de Martel.

W dobrej szkole wyćwiczona, nudząc się w swoim zamczku na prowincyi, uległa przyjemnej pokusie obcowania z muzą, i idąc drogą matczyną, próbowała przed kilku laty posłać pod tą obłonką *Gypa* pierwsze swoje artykuły do tego rodzaju przeglądu, który się zowie: *La Vie Parisienne*. Artykuły te, dowcipne, zgrabnie redagowane, całe przesiąknięte tą wonią wyższego towarzystwa, którego monitorem jest gazeta—znalazły doskonałe przyjęcie, i od redakcyi, i od publiczności wyłącznej—i *Gyp* zasłynął jako prawdziwe dziecisko gazety. Następnie zdjęto maseczkę, i gdy ku wielkiemu zdziwieniu ujrano pod nią ten świeży, trochę pomięty, ale sympatyczny buziak młodej pani—obchodzono w gazecie prawdziwie Zielone Świątki.

Wspomniałem tu o buziaku pani de Martel. Parę tygodni, przypadkiem, spotkałem ją nad brzegiem normandzkim oceanu i miałem zaszczyt ją poznać osobiście. Fizycznie i moralnie, jestto śliczna i miła błękitna pończoszka—tak miła, jak tylko można sobie życzyć.—„Uprzedzam panią—powiedziałem, żegnając się—uprzedzam, że portret pani poszł do Warszawy.“—„To weź go pan z mojej własnej książki: *Okolo Małżeństwa*. Malując moją Pauletę, przyznam się, że patrzyłam w lustro“. Otóż Pauletę a d'Alaly wygląda następnie:

„Wcale niejest to regularna piękność—ale ma twarz zmiętoszoną jakąś, zabawną; kibić udatną; włosy jasne, świetne—jakby się paliły; wielkie śmiejące się oczy; usta złożone do śmiechu, i pełno dółków na całym buziaku“.

Portret jest bardzo poóbyny—ale dodać potrzeba, że oryginał oddycha takim sprytem, taką wesołą dobrocią, tak ironicznym uśmiechem, iż to zaraz człowieka ujmuje za serce. Pani de Martel mieszka w Paryżu już teraz; większą część roku i czas swój dzieli pomiędzy książkę i pióro a obowiązki troskliwej matki dwóch ślicznych chłopaków: Boba i Freda—ten ostatni żywy portret mamy; wiele tego czasu zabierają także i obowiązki osoby bardzo wziętej w wyższym towarzystwie paryżkiem. Literatura przychodzi *Gypowi* tak łatwo, że to jest ostatni kłopot tej pani. Wesoła, miła, rozumna i sprytna nade wszystko—ma ona całą garść adoratorek i adoratorów, którzy ją przewalili: „Miss Gavroche“.

W zimie roku zeszłego zdarzył się wielki skandal, w wielkim świecie paryżkim. P. margrabia V. D., jak wielu mężów na świecie, sprzykrzywszy sobie jednostajne szczęście domowe—zaczął szukać rozrywek nazewnątrz. Te rozrywki doprowadziły do takich stosunków i kombinacji, że nakoniec młoda żona, czy zawiadomiona przez dobrych przyjaciół, czy sama wpadłszy na trop, zaczęła śledzić, i po nici doszła do kłębka. Ztąd sceny domowe, a kiedy jegomość, biorąc na kiel, obszedł się brutalnie, żona udała się do środka zemsty, niepraktykowanej dotąd jeszcze w obrębach szlacheckiego przedmieścia S-go Hermana: do witiolu. Ale pani, niewprawną i dobrego serca, a dbała i o własne delikatne rączki wykonała zamach tak niezręcznie, iż wszystko skończyło się na spaleniu surduta i dywanu, z niemalym jednak przestraczem winowajcy.

Ztąd skandal, chwilowa separacya, i plotki, tem większe, że małżonkowie byli cudzoziemcami; wszystko uspokoiło się przecieży prędko, cały ten wypadek udużono w domu, i skończyła się rzecz cała na wyjeździe z Paryża i powrocie do kraju własnego.

Gyp, który wiedział o wszystkim, wziął to za przedmiot do nowej powieści, która tylkoco się ukazała pod tytułem: *Druid* (*Le Druid*); może dlatego, że ten wyraz przypomina trochę nazwisko cudzoziemca—albo dlatego, że kiedyś w jego ojczyźnie byli druidowie. Jakkolwiekby, chociaż autorka za dewizę położyła na pierwszej karcie następują sentencją:

„Gdyby zamiast usiłowań—jak to czynią—zmiernających do ukrycia haniebnego postępku, odkrywano go z wielkim rozgłosem: zdaje mi się, że wszystko szłoby lepiej na świecie“.

Zakrawa to jakby na surową moralność Persyusza lub Juwenalisa... przecieży powieść sama, jak wszystko, co wyszło z pióra *Gypa*, jest dowcipna zabawna i czyta się z łatwością: bo też widocznie z łatwością napisana została. Moralność konkluzji nie ma w sobie nic, coby z daleka nawet przypominało podziemia i tortury. A tak wesoło odkryta hańba wygląda bardziej na błąd, i przewinienie—niż na grzech śmiertelny.

Kronika działalności kobiecej.

— Joanna Neubarowa, prawdziwie świętej pamięci *Matka sierot*, umarła d. 2 Lipca i została pochowaną na cmentarzu ewangelickim w rodzinnym grobie Kazimierusów. Pogrzeb, pomimo wielkiego upału bardzo liczny był i wspaniały przez współudział wszystkich warszawskich korporacyi dobroczynnych, reprezentowanych przez delegacye z wieńcami. Przed trumną postępowały długimi szeregami sieroty wszystkich wyznań, to jest: sieroty wychowywane przez Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności, wyznania ka-

tolickiego, dalej augsbursko-ewangelickiego, moją żeszowego. Skromną trumnę pokrywały wieńce.

— Czyn szlachetnej dobroczynności i cnoty chrześcijańskiej został spełniony przez znaną niewiastę, rodem z naszego miasta, p. Teofilę Łukowską urodzoną w Warszawie w 1815 r., która opuściła miejsce rodzinne w 1836 roku. Rodzina udała się do Galicji, gdzie mąż umarł wkrótce i wdowa pozostała z dzieckiem, dwunastoletnią córeczką, Malwiną, bez żadnych środków utrzymania. Szukając ich, kobieta odważnego serca puściła się na obczyznę, i w Jasach znalazła sobie miejsce we francuzkim pensjonacie panien Mme Jose, jako nauczycielka ręcznych robót kobiecych. Był to już zapewniiony chleb, i więcej, bo możność kształcenia córki; żyła też tą myślą jedną, a tak skromnie, tak z jednej strony pracując, z drugiej tak oszczędzając, że po kilku latach zdołała uzbierać sobie kapitał na założenie magazynu strojów. Teraz już i córka była dorosłą, obie więc pracowały, a sumienne, obdarzone dobrym smakiem osób inteligentnych, zjednały sobie wkrótce klientelę najpierwszych pań rumuńskich. Praca się opłacała, poczęto zbierać, dochodzić do zamożności, do majątku i spracowana matka zateśkniła za swoim światem, zapragnęła dla siebie i córki odpoczynku, marzono o powrocie do kraju, gdy nagle los rozrzucił inaczej. Córka zachorowała i umarła, obca ziemia przyjęła jej zwłoki, a nieszczęśliwa matka, unosząc tylko obraz mogiły, gdzie legło jej jedyne dziecko — szczęście jedyne i już ostatnie, zawróciła znów w tył tułaczę swe kroki. Przybyła do Lwowa i zostawiając sobie tylko na skromne utrzymanie, złożyła na ręce Marszałka Zybliewicza 20,000 zł. ren: z przeznaczeniem, aby odsetki od tej sumy służyły jako zapomoga dla dwóch dziewcząt, pragnących wytworzyć sobie pracę w jakiejś gałęzi przemysłu kobiecego. Fundacya nosi miano: Teofili i Malwiny Łukowskich; zapomogi po rozpisaniu odpowiedniego konkursu mają być doręczane co rok w jednorazowo wypłacanej summie w rocznicę urodzin zmarłej córki fundatorki.

Serce ścisła się żalownie nad tym losem, nad tą niedolą starości samotnej po życiu tułaczem i twardo wyrabiającem sobie miejsce na ziemi; ale zarazem wzruszą się pięknością tej duszy niewieściej, tak do końca wiernej ideałom młodości swojej. Zmęczona, zbolala sercem kobieta miała już może prawo do stracie tak ciężkiej zamknąć się cicho w cierpieniu swoim, pozostać przy mogile kryjącej ukochane szczątki; ona przecież rzuca tę drogą jej mogiłę, zostawia ją samotną między obcymi, a każdy kto kochał i tracił na obczyźnie ukochanie swoje, wie, co to jest mieć grób drogi pozostały bez straży i opieki w cudzej stronie, między cudzymi ludźmi? Mężna kobieta posiadała jednak dość siły do spełnienia ofiary: uwozi groz zapracowany, aby nie przepadł dla kraju, i nie myśląc o wygodach należnych jej wiekowi, oddaje jeszcze za życia pieniądze, należący do niej na stokroć wyższych prawach własności, niżby to było dziedzictwo, otrzymane po przodkach. To też prócz szacunku, który się uczuwa dla energii, wytrwałości, siły charakteru, okazanej wśród ciężko doświadczonego istnienia, budzi się w sercach gorące współczucie dla tej szlachetnej, wskroś chrześcijańskiej natury kobiety kochającej, która uczucie swe dla straconego dziecka przenosi na dzieci innych matek i pomaga im do torowania sobie drogę przez życie.

— Dywan i poduszka, wyhaftowane przez kilka pobożnych pań warszawskich, wysłane zostały do katolickiego kościoła w Archangielsku. Uboga ta świątynia położona wśród surowych

krańcżyn Europy, nad Morzem Białym, potrzebuje miłosiernej pamięci ludzi dobrej woli.

— Wiadomym jest fakt tajemnie dokonanej wycieczki młodego króla hiszpańskiego, Alfonsa, do miejscowości dotkniętej klęską cholery, do Aranjuez. Wyjeżdżając o 5-tej rano, zostawił on do królowej list, uwiadamiający ją o tem, a ten list został jej oddany o 9-ej, więc w cztery godziny po wyjeździe króla. Królowa czytając zalała się łzami i zawołała: — „Ja, powinnam była być tam obok niego!“ co znaczy: — Ja żona, jestem obowiązana być obok męża mego tam, gdzie jest niebezpieczeństwo, gdzie jest położenie trudne. Słowa te to streszczenie całego kodexu małżeńskich obowiązków — dzielenia życia nie tylko w chwilach jego dobrych, nietylko w tem co stanowi uśmiech losu, ale i tam, gdzie jest trud, ofiara, i praca — stawianie czoła okolicznościom smutnym! Ale nietylko wielkie, tragiczne chwile żądają tego od kobiety: być codzień na posterunku pracy, gdy mąż pracuje, codzień dźwigać z nim pospołu ciężary życia, nie wymagając dla siebie praw wyjątkowych spokojnego używania, to miejsce takie na którym, gdy się mąż znajduje, żonie wołać trzeba: — Ja tam być powinnam!.. Król Alfons znalazł tak w szpitalu wojskowym, jak miejskim, Siostry Miłosierdzia spełniające swój urząd święty z takim poświęceniem, że z uszanowaniem całował je w ręce. Ośm zakonnic było wtedy chorych.

— Praprawnuczka admirała Coligny, pani ze starego rodu hugonotów francuzkich baronowa Garreau Gallot, zawiązała stowarzyszenie francuzkich kobiet wyznania protestanckiego w celu zajęcia się moralnością i losem dziewcząt tegoż wyznania (Union des femmes françaises protestantes pour assurer l'éducation chretienne a toutes jeunes filles de l'Eglise protestante).

— Doktorka Medycyny, doktoryzowana przez paryżki fakultet medyczny, M. Benoit, wystąpiła do paryżkiej Rady Muncypalnej z żądaniem, aby uczennice paryżkich szkół elementarnych, a także Szkoły Nauczycielek, otrzymały lekarza kobietę. Ona sama pragnęła zająć to miejsce. Rada odesłała jej żądanie do administracyi szkół wzmiankowanych z poleceniem przychylnem.

— Dwie Francuzki, walczące za polityczne prawa kobiet, Picot i Barberousse, którym niedozwolono zapisać się na listę wyborców do paryżkiej Rady Muncypalnej, wniosły o to skargę przed Sąd Pokoju właściwego okręgu, zostały z nią oddalone, apelowwały do Sądu Kassacyjnego, i tam również przegrały, a raczej przegrała tylko jedna z nich Barberousse; sprawa Picaud nie została zgola przed sąd wytoczoną, gdyż mężatka nie przedstawiała upoważnienia męża do działania.

— Pięć kobiet zostało przyjętych do pełnienia w szpitalach paryżkich obowiązków lekarzy wewnętrznych „internes“. Z tych cztery, wszystkie mężatki, Choppin, Dubois, Blanche Edwards, Sarrante, są z urodzenia francuzki; piąta, miss Klumpke, jest Amerykanką, pochodzenia niemieckiego.

— Amerykańskie stowarzyszenie kobiet dla rozpowszechniania jedwabnictwa w Stanach Zjednoczonych, zebrało się d. 1 Czerwca bieżącego roku w Filadelfii. Sprawozdanie wykazało bardzo szczęśliwy postęp: z amerykańskiego już jedwabiu wyrabiają się tam ciężkie materye zwane brokatami, wstążki, fulary na chustki od nosa, i jedwab używany w pończosznicwie. Stowarzyszenie przez liczne swe petycje do rządu uzyskało wysokie cło ochronne, które zabezpiecza od importowania francuzkich materyi jedwabnych, przez cenę swą przystępną tylko dla pań bardzo bogatych. Stowarzyszenie przesłało w po-

darunku wyrobione z amerykańskiego jedwabiu flagi wszystkim Stanom, oraz wspaniale piękną flagę, która powiewa obecnie na Białym Domu. Oto bardzo szczęśliwie skierowana czynność kobiety, czynność obywatelska, której żadne okoliczności na przeszkodzie nie stają. Dodać należy, że tysiące Amerykanek związało się przyrzeczeniem nieużywania zagranicznych jedwabii.

— W Paryżu, gdzie szukając pracy i uzdolnienia do niej, przybywa wiele dziewcząt z prowincyi, nieznających miasta i jego stosunków, istnieją dwa wielkie zakłady, kędy dziewczęta, pragnące się kierować na modystki, znaleźć mogą zaraz schronienie i naukę. Trwa ona lat dwa i przez ten czas ucząca się dziewczyna dostaje tylko utrzymanie, to jest stół i pomieszkanie, co w Paryżu nie jest małą rzeczą. Po dwóch latach dziewczyna zostaje „pétite apprêteuse“ i już zaczyna pracować za wynagrodzeniem, które przez dwa do trzech lat nie bywa większe od 16 do 25 franków na miesiąc. Wtedy wyuczona i wprawna zostaje „première apprêteuse“ i zarabia od 40 do 80 franków miesięcznie, następnie może się jeszcze wykształcić na „garnisseuse“ i jako taka zarabia od 100 do 150 fr. miesięcznie. Najwyższy zarobek i najwyższe w zawodzie modystki miejsce jest „première garnisseuse“ i ta miewa już w wielkich magazynach od 300 do 500, a nawet 600 fr. miesięcznie, ale musi już posiadać i talent w swoim rodzaju, to jest obok znajomości rysunku, smak wyższy i pewne estetyczne tego gustu wyrobienie, wraz z pomyślnością. Taka pracownica, najwyższa w rzemiośle swoim, zwiedza w Niedziele Muzea i kształci smak, przepatruje starożytne wzory, bierze z nich pomysły, nabiera artystycznego zmysłu pod względem mieszania i zgadzania ze sobą kolorów, tak jak i stosowania ich do osoby, która nosić je będzie. W podobny sposób terminowania w fachu swoim kształcą się dziewczęta pokazujące i sprzedające w sklepach towary „demoiselles de marchandise“. Od sprzedających wyższego stopnia, wymagają znajomości języków obcych, głównie angielskiego i taka zarabia od 100 do 300 fr. miesięcznie. Pokazująca, od której wymagana jest uprzejmość i zręczność w pokazywaniu, umiejętności w drapowaniu materyałów przed oczyma kupujących, zarabia od 40 do 80 fr. miesięcznie.

Jest tu charakterystycznym rysem, że niegdyś wymaganą i podobnie jak angielszczyzna poszukiwaną była dobra znajomość języka niemieckiego, tworząc nawet dla dziewcząt z Alzacyi pewien przywilej, wraz z podniesieniem płacy. Przecież obecnie język niemiecki został zupełnie wyrugowanym ze sklepów paryżkich. Cokolwiek więc mówi się przeciw Francyi, naród ten nie obumarł jeszcze duchem tak, aby się dźwignąć nie mógł, skoro nawet handel, ten wielki niwelator uczuć, kosmopolityczny m być nie chce i miłość francuzkiej ojczyzny, godność jej synów, trzyma górę nad interessem pieniężnym.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 9-ty powieści pod tytułem: *Opuszczona*, przez Ms G. W. Godfrey.

TREŚĆ. Pogawędka. — Odpowiedzi na kwestyonyaryusz rod.inny, (dalszy ciąg), przez Maryą Ilnicką. — Nigdzie mu dobrze nie było, obrazek z życia, (dalszy ciąg), przez Quis'a. — Listy z Magdeburga XIV, J. I. Kraszewskiego. — Dalszy ciąg Książki pamiątek, N. Żmichowskiej. — Nowiny paryżkie, (dokończenie). — Kronika działalności kobiecej.

Dodatek obejmuje: Arkusz 9-my powieści pod tytułem: *Opuszczona*, przez Ms G. W. Godfrey. — 35 wzorów ubiorów i robót wraz z opisem. — *Sekreta gospodarskie*. — *Dyspozycyą stołu*.

DODATEK DO BŁUSZCZU,

N^r 29.

Wzory ubiorów i robót

z najlepszego pisma paryzkiego

MODE ILLUSTRÉE (Bazar)

jednocześnie i li tylko w Błuszczu ze wszystkich pism polskich są podawane.

Tualety i materyały letnie.

Tualety letnie odznaczają się zazwyczaj różnorodnością, elegancją i jasnością barw; obecny zaś sezon dołącza do tego niezwykłą oryginalność w wyborze materyałów na letnie kostiumy. Najbardziej używane z nich są etaminy, to jest kanwowe materye z lnu lub wełny, tkaniny gipiurowe (dentelle du Soudan, dentelle-crochet), wełniane materyały ażurowe, jak koronki, wyciskane etaminy i kanwy w turecki deseń, krepy i „crêponné“, cienki i miękki wełniany materyał, rozciągający się jak „Jersey“, jednak bezporównania delikatniejszy i bardziej dystygowany.

Obok wyżej wymienionych najnowszych materyałów, są modne także znane i używane już dawniej, a zawsze stosowne na letnie upały, koronkowe lekkie materyały, surowy jedwab, fular, przeróżne gatunki woalin, zefiry, batysty i satinety. Wszystkie te materyały są lekkie, najczęściej barwne, stosunkowo nie kosztowne, a tualety z nich przygotowane, jeżeli odznaczają się dobrym smakiem, przedstawiają pole do oryginalnych i gustownych kombinacji; np. szerokie wełniane wszywki, zeszyte z pasami etaminy, wyglądają bardzo ładnie w upięciu spódnicy, która może być u dołu oszyta szeroką wełnianą koronką, lub też wolant z saskiej koronki, draperya z gładkiej etaminy, do tego stanik z etaminy w turecki deseń; surowy jedwab w połączeniu z haftowanym szlakiem, naszytym pod zakładkami w taki sposób, aby suknią naśladowała kilka spadających jeden na drugi wolantów. (patrz rycinę 5 w Błuszczu Nr 30). Fason modnej dziś spódnicy „paysanne“, ulega różnym zmianom: już to widzimy ją spadającą w podłużnych fałdach, już to ułożoną w zupełnie płaskie fałdy, lub kontrafałdy, a często wprost zmarszczoną i przyszytą do paska; takie spódniczki marszczą się kilka razy, aż do 8 centim. od paska tak, aby to marszcze-

nie było widoczne i nie przykryte karczkiem stanika; zaś ufałdowane spódnice najczęściej mają u góry 15 cent. szeroką szarfę z tegoż co suknia, lub z innego materyału. W ogóle do sukien „paysanne“, noszone są bardzo wszelkiego rodzaju szarfy; do sukien z upięciem bardzo dobrze pasują. szczególnie dla młodych osób, bawetowe pa-

ski, zwane „Medicis“, lub matowe jedwabne szarfy „bayadère“.

Ponieważ najbardziej używanym fasonem jest spódnica zwana „paysanne“, uważamy za stosowne zwrócić uwagę na to, że nie wszystkie gatunki materyałów są na nią stosowne: bardzo lekkie lub ażurowe materyały nie są dość sztywne

i odstające, tembardziej, że tiurniura, którą zazwyczaj zastępuje stalki i poduszeczka przyszyta u pierwszej spódnicy, muszą być trochę mniejszych, niż zwykle rozmiarów, aby się z pod gładkiej sukni nie odznaczały. Miejsce wazkiej falbanki, w koło pierwszej spódnicy, tak zwane „balayeuse“, często zastępuje aksamitna plisa, na którą spada koronka lub wolant sukni.

Staniki modne są bardzo krótkie, najczęściej kilka cent. długości od paska, z karczkami zakończonymi z przodu i z tyłu bawetem, lub w około wyciętymi w palki, albo też ufałdowanymi z tyłu, a z przodu marszczonymi, z bawetowemi paskami, kamizelkami, luźnymi przodami; staniki „bébé“ ze spiczastym karczkiem u góry i bawetem u dołu. O wiele mniej różnorodności przedstawiają kolory materyałów; dominującymi są: pasowy i szafirowy. I tak: granatowe suknie przybierają się pasowemi koronkami, wstążkami, wszywkami i aksamitem; deseniowe materyały w szafirowy i pasowy deseń, szafirowe przezrocyste materyały na pasowej podszewce. Drugorzędne miejsce w obecnym sezonie zajmują kolory: kremowy, brązowy, oliwkowy, oraz kolor mchu i gliny.

Koronka siatką gipiurową.

Ryciną Nr 6.

Koronka z białych nici średniej grubości. Po przeniesieniu deseni na płótno i przymocowaniu tegoż na sztywną ceratkę, trzeba obie pierwsze poziome linie oraz wszystkie koła oznaczyć grubą stębnówką, owinać nitką i obhaftować ścięciem langietkowym, jednak-



Nr 1. Suknia z wełnianego materyału z trykotowym stanikiem. Opis pierw. str. tabl.

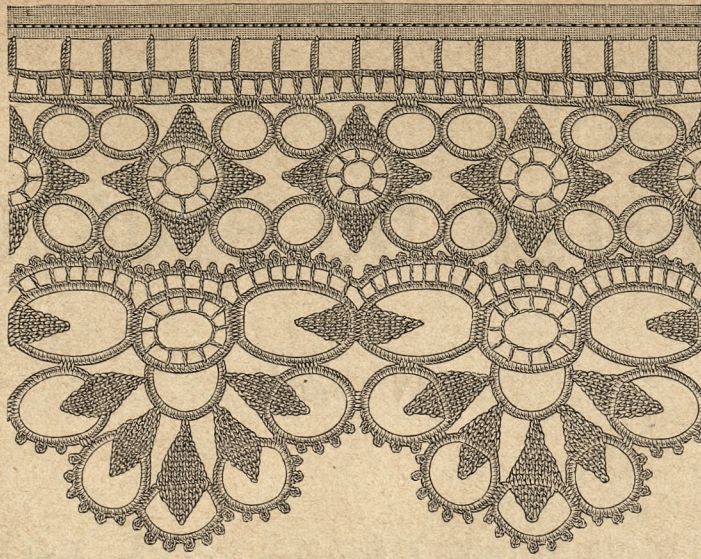
Nr 2. Suknia z etaminy gładkiej i w deseń. Opis pierw. str. tabl.

że haftując drugi rząd, łączyć go w równych odstępach z pierwszym, owijając pierwszą nitkę drugą; kółka zaś łączyć ze sobą lub najbliższym rzędem langietek. Ostatnie kółka koronki ozdobione pikotami, na które trzeba kilka razy nawinąć nitkę na igłę i zadziernąć razem ze ścięciem. Po wykończeniu kółek robi się kratkę w środku tychże, a następnie śpiczaste figury wiadomym sposobem i wtedy dopiero łączy się dolną część koronki z wierzchnią. Po wykończeniu koronki obciąć końce nitki, zdjąć ją z ceraty i połączyć z płótnem za pomocą słupków, na które przeciąga się nitkę parę razy tam i napowrót; obszywa się je dzierganym ścięciem.

Sukienka dla dziecka od 2 do 3 lat robotą szydełkową.

Rycina Nr 16. Krój pierw. str. tabl. Nr VII, fig. 20—23.

Sukienka z grubej, ciemno-pasowej włóczki w prążki. Podług fig. 21 robi się przednią część, a podług fig. 22 tylna część karczka, na odpowiednio długim założeniu tam i napowrót. Kolej 1: 1 ocz. opuścić, potem ciągle naprzemian: 1 ści. o. w każde ocz. założenia. Kolej 2: 1 pow. o., potem ciągle: 1 ocz. ścis. w każde ocz. poprzedniej kolei (robiąc je zawsze w pętelkę po lewej stronie oczek). Kolej 3 jak 2. Kolej 4: 4 pow. ocz., potem ciągle naprzemian: 1 słup. w następne drugie ocz., 1 ocz. pow. Dalej powtarzać 3 razy naprzemian 1 do 4 kolei, robiąc podług formy, przybierając lub ujmując oczek wedle potrzeby; po zrobieniu, zeszyć ramiona okrętką z lewej strony, podszyc karczek lekką podszewką i objąć w koło koleją dziurek, a potem zakończyć ząbkami, na które robić zawsze 1 ści. ocz. w najbliższe o.,



Nr 3. Koronka siatkową gipiurą.



Nr 4. Wałek do oparcia głowy.

5 sł. w następne drugie o. 1 o. opuścić i t. d. Dalej robić tymże ścięciem stan sukienki, przód i plecy jednocześnie, podług formy, której powowę podaje fig. 20, przybierając lub ujmując oczek, stosownie do potrzeby; ponieważ sukienka u dołu się rozszerza, potrzebne są dodatnie, to jest krótsze koleje, które wrabiają się pomiędzy 12 i 13, 32 i 33, 57 i 58, 77 i 78 koleją, przyczem 2 pierwsze dodatnie koleje robią się na 12 ostatnich oczkach, następne na 20, a dwie ostatnie znowu na 12. Z tyłu na plecach robią się w odpowiednim miejscu dziurki do zapinania na guziki, robiąc 2 ocz. pow. i opuszczając 2 ocz. poprzedniej kolei. Rękawki robią się podług formy podanej na fig. 23, także podług, tym samym ścięciem i w ten sposób jak sukienka; po zrobieniu rękawków, zeszyć je, zakończyć u ręki koleją dziurek i ząbków i wszyć w wykrój pachy, przyszywszy wprzód karczek do sukienki. Następnie zrobić wolant na założeniu z 39 ocz., a z 153 kolei, zeszyć go zakończyć u dołu ząbkami, a u góry koleją dziurek, robiąc 1 potrójny słup. w każdy prążek, przeciągnąć przez tę ostatnią koleją aksamitną wstążeczkę i przyszyć do sukienki.

Suknia z alpagi.

Rycina Nr 26 i 27.

Spódnica oszyta 9 cent. szerokim garniowaniem, pokryta 95 cent. długim, a 500 cent. szerokim, ułożonym w szerokie płaskie fałdy wolantem z błękitnej alpagi; wolant ten przybrany u dołu 15 cent. szeroką plisą z niebieskiego w białe punkciki fularu i trzema zakładkami szerokości 1 cent. Przód tiuniki ma 75 centim. długości, a szerokości u góry 70, a u dołu 115 cent. podszyty fularem, odwinięty na wierzch i udrapowany na



Nr 5. Szlak do przybrania krzeseł, sof, stor, portier i t. p. haftem aplikacji.



Nr 7. Kaftanik nocny dla panienek od 13 do 15 lat. Krój i opis odwr. str. tab. Nr XI V, fig. 52—54



Nr 10 i 11. Pończoszka i skarpetka dziecienna. Opis odwr. str. tabl.



Nr 17. Koszulka nocna dla dziecka od 2 do 4 lat. Opis odwr. str. tabl.

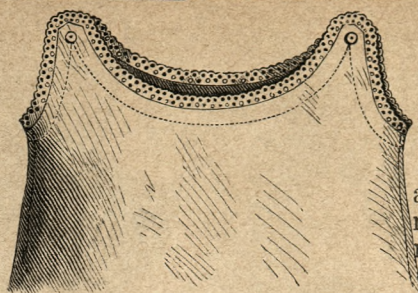


Nr 21. Majtki dla dziewczynki od 5 do 7 lat. Krój i opis odwr. str. tabl. Nr XV, fig. 55—56.

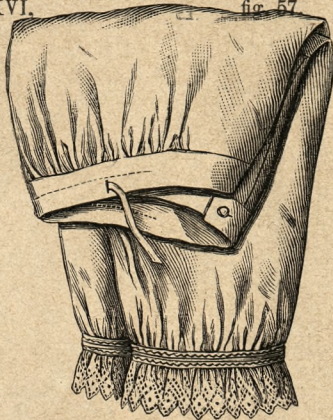
Suknia, kapelusz i parasolka z zefiru.

Rycina Nr 28 do 31.

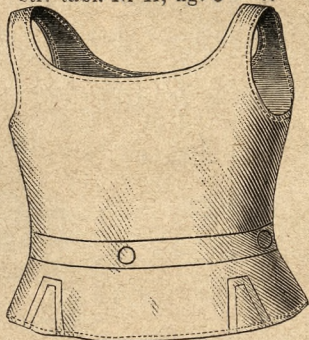
Spódnica objęta 8 cent. szeroką falbanką z granatowego zefiru w pasowy rzucik i pokryta wolantem ułożonym w szerokie fałdy i osztywnym u dołu piłą z zefiru w granatowe i pasowe pasy. Z tyłu suknie przybrana pół-tiunika, 150 cent. szeroką, a 96 cent. długą, upiętą bufiasto, u góry ułożoną w małe, lecz głębokie fałdy, a z prawej strony w jedną dużą, skierowaną na dół fałdę. Przybrania sukni dopełnia 75 cent. szeroka szarfa z zefiru w pasy, udrapowana z przodu, z tyłu zakończona dużą kokardą przypiętą na karoczkę stanika. Staniczek krótki z ranwersami, zapięty na lewym boku; napierśnik, mankiety i stojący kołnierzyk z zefiru w pasy. Parasolka i kapelusz do tej sukni zrobione także z zefiru w pasy i w rzucik. Kapelusz formą budki, pokryty zefirem suto bufowanym i marszczonym.



Nr 6. Koszulka dla dziewczynki od 6 do 8 lat. Krój i opis odwr. str. tabl. Nr XVI, fig. 57.



Nr 9. Majtki dla panienki od 12 do 14 lat. Krój i opis pierw. str. tabl. Nr II, fig. 6—7.



Nr 14. Staniczek dla dziewczynki od 7 do 9 lat. Krój i opis pierw. str. tabl. Nr VIII, fig. 24—25.



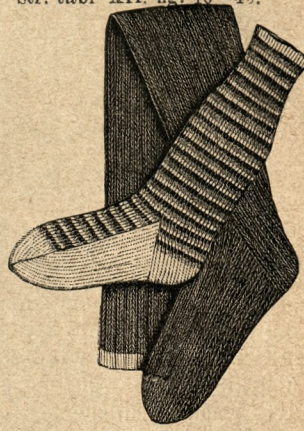
Nr 15. Spódniczka pod suknią dla dziewczynki od 3 do 5 lat. Krój i opis pierw. str. tabl. Nr VI, fig. 18 i 19.



Nr 16. Sukienka dla dziecka od 2 do 3 lat. Krój pierw. str. tabl. Nr VII, fig. 20—23.



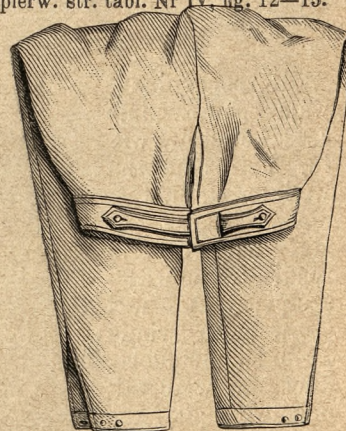
Nr 8. Koszulka nocna dla panienki od 11 do 13 lat. Krój i opis odwr. str. tabl. XII, fig. 40—45.



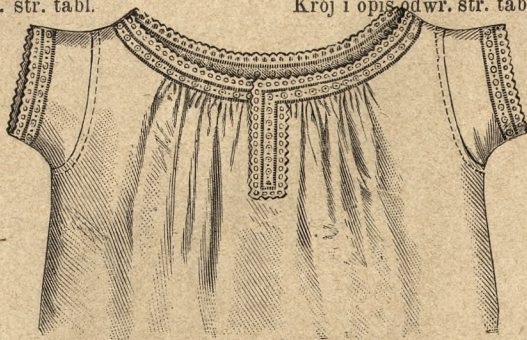
Nr 12 i 13. Pończoszka i skarpetka dziecienna. Opis odwr. str. tabl.



Nr 18. Koszulka nocna dla dziewczynki od 5 do 7 lat. Krój i opis pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 12—15.

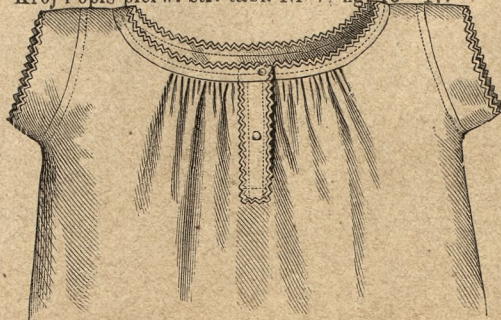


Nr 20. Koszulka nocna dla chłopczyka od 9 do 11 lat. Krój i opis odwr. str. tabl. Nr XIII, fig. 46—51.



Nr 22. Majtki dla chłopczyka od 11 do 13 lat. Krój i opis pierw. str. tabl. Nr III, fig. 8—11.

Nr 23. Koszulka dla panienki od 13 do 16 lat. Krój i opis pierw. str. tabl. Nr V, fig. 16—17.



Nr 24. Koszulka dla dziewczynki od 7 do 9 lat. Krój i opis pierw. str. tabl. Nr X, fig. 28 i 29.

Suknia z woaliny.

Rycina Nr 33

Suknia z kremowej woaliny, składa się z podwójnej spódnicy i stanika formą bluzki. Spódnica pierwsza z podszewki, oszyta 15 cent. szeroką falbanką i pokryta drugą, 400 cent. szeroką spódnicą z woaliny, u góry zmarszczoną,

z tyłu ułożoną w głębokie fałdy; na lewym i prawym boku podpiętą i ozdobioną dużą rozetą z kremowej atlasowej wstążki. Bluzka z tyłu gładka, z przodu marszczona, wycięta w kwadrat i przepasana atlasową szarfą, związaną z tyłu na dużą kokardę.

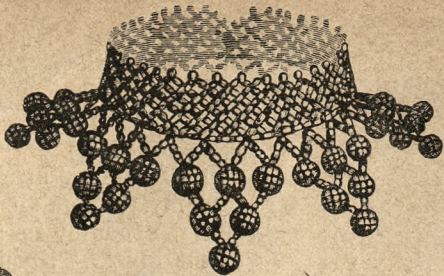
Przepisy gospodarskie.

Kapusta higieniczna.

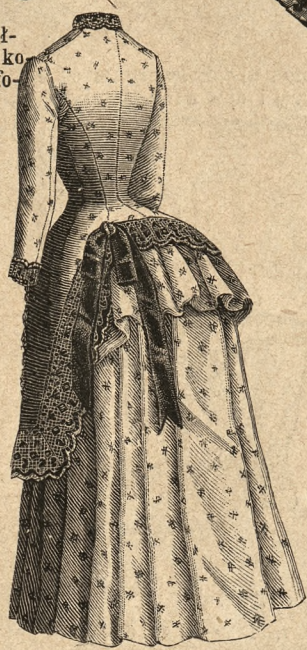
Kapusta jest jedną z najniezdrowszych jarzyn — chcąc ją zrobić strawną, należy po uszatkowaniu nie zadawać się parzeniem lub soleniem, lecz wrzuciwszy w ukrop na dużą wodę, dać się parę razy kłębem zagotować. Odcedzoną wrzucić w masło, lub



Przód. Nr 26 i 27. Suknia z alpagi. Plecy.



Nr 25. Kołnierzyk z kołnierza zeszlifowanych perełek.



Nr 32. Suknia z zefiru. Plecy. (Do ryc. 35).



Nr 30 i 31. Kapelusz i parasolka do sukni r. 28 i 29.



Przód. Nr 28 i 29. Suknia z zefiru. Plecy. (Do ryc. 30 i 31).

przesmarzoną młodą słoninę, wkrajać na jedną główkę trzy średnie kwaśne jabłka, szatkując je jak najdrobniej, wlać kilka łyżek rosolu, lub w braku tegoż wody, posolić i dusić na wolnym ogniu. Gdy już miękka — spróbować czy dość kwaśna, jeżeli nie, wlać łyżkę przegotowanego octu, który w każdej porządnej kuchni powinien być na zapas, zapalić łyżką masła z pół-łyżką mąki i na wydaniu wsypać jedną małą łyżeczkę cukru. Nie zaszkodzi najslabszemu żołądkowi.

Rozboeuf lub pieczeń wołowa na blasze.

Rozboeuf nazywają powszechnie część kotletową wołu, upieczoną na wielkim ogniu tak, aby wewnątrz została surową. Na różnie trudno zawsze piec taki kawał — w piecu schnie i robi się nie dobre, kucharze więc tak poledwicę, jak i każdą pieczeń wołową lubianą powszechnie, aby była na w pół upieczona — pieką na wierzchu na brytfannie. Łyżkę tłuszczu wołowego (fritury) rozgrzewają do rumianego koloru i wcale nie rozbijane mięso, tylko na 10 minut pierwej nasolone, wrzuca się na bardzo gorący tłuszcz, na duży ogień, obrumienia szybko z obu stron tak, aby sok mięsny nie mógł wypłynąć, a następnie stawia zawsze na

wierzchu na wolniejszym ogniu — przewracając często, aby się z obu stron równo dopiekało. O ile kto lubi więcej lub mniej dopieczoną,

o tyle dłużej lub krócej trzyma na blasze. Podając, wyjąć pieczeń z tłuszczu i na półmisku polać runianem młodem masłem, okładając kartofelkami oddzielnie smarzonymi lub makaronem.

L. C.

Obiad na Niedzielę.

1. Zupa poziomkowa.
2. Kotlety z mózdzku ze szpinakiem.
3. Poledwica z rożną z kartoflami.
4. Ciastka francuskie z kremem waniliowym.

U W A G A.

Tablica krojów, dołączona do dzisiejszego numeru, objaśnia również wzory ubiorów i robót w 30 numerze Bluszczu podać się mające.



Nr 33. Suknia z woalu

Nr 34. Suknia z „satin-merveilleux“ i koronki. Opis odwr. str. tabl.

Nr 35. Suknia z zefiru. Przód. (Do ryc. 32). Opis odwr. str. tabl.